Nr. 11. **Poznań, Niedziela 10go Czerwca 1894 r.** **Rok I**

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„**Przegląd Poznański**“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2.25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4.00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

POLITYKA.

Viribus unitis.

Artykuł pod tytułem „Dwa obozy,“ zamieszczony w 9tym numerze „Przeglądu,“ wywołał — jak miałem sposobność przekonania się o tem sprzeczne zdania i oceny. Jedni upatrywali w nim pewne lekceważenie partyi ludowej i całego ruchu ludowego, przebijające rzekomo z odmawiania stronnictwu ludowemu „namiętnego patryotyzmu,“ z przyznawania poniekąd słuszności znanemu przydomkowi „czarno-białego“ nadawanemu najniesłuszniej jednemu z przewódzców tego stronnictwa, z niektórych wreszcie wyrażeń, jak „zuchwały fanatyzm,“ „na efekt chwilowy obliczone ogólniki“ itp.; — drugim znów zdawało się w nim słyszeć zaintonowanie Requiem całemu stanowi, który dotychczas dzierżył hegemonię spraw politycznych i społecznych tj. obywatelstwu wiejskiemu, posiłkowanemu przez duchowieństwo, a równocześnie absorbującemu dotychczas inteligencyę wychodzącą z łona ludu.

I jedno i drugie zapatrywanie jest mojem zdaniem niesłuszne, ale jedno i drugie mieści też w sobie źdźbło prawdy, co się tłomaczy tem, że autor artykułu nie stanął wyraźnie ani po jednej ani po drugiej stronie, ale starał się tylko zanalizować i scharakteryzować oba stające dzisiaj do walki stronnictwa — i zachować przytem bezstronność i zupełnie objektywne stanowisko, Bezstronność niezawsze popłaca w sprawach politycznych, mianowicie wśród roznamiętnienia ogólnego, — to też autor niezadowolił żadnego z walczących ze sobą stronnictw.

Słusznem jest jednakże żądanie tych, którzy mówią: skoro nie podzielacie dążności, ani partyi tak zwanej ludowej, ani stronnictwa tak zwanego dworskiego, jakież jest wasze stanowisko, jaki cel i program?

Że stoimy na przełomie, że dotychczasowe formy, w których społeczeństwo nasze żyło i objawiało się na zewnątrz, kruszą się i łamią, tego pewnie nikt nie zaprzeczy. Przodująca dotychczas we wszystkiem klasa — czy ją nazwiemy po prostu szlachtą, czy obywatelstwem wiejskiem — schodzi częściowo z pola, które się przez to opróżnia. Nie będę rozbierał przyczyn tej „dekadencyi,“ jak ją autor artykułu nazywa, nie będę roztrząsał pytania, czy wina tej dekadencyi leży przeważnie w samym stanie ziemiaństwa naszego, czy w zewnętrznych stosunkach. Przesilenie. jakie powszechnie przechodzi rolnictwo, jest niewątpliwie jedną z ważnych przyczyn tej dekadencyi, ale nie mniej pewną jest rzeczą, że w ślad za upadkiem materyalnym szło rozprzężenie i upadek moralny, objawiający się w bezmyślnym braku troski o jutro, w nieopatrznem życiu nad stan, w ofiarowaniu ziemi ojczystej Komisyi kolonizacyjnej, wreszcie w apatyi i zwątpieniu. Nie mam bynajmniej zamiaru rzucania kamieniem na cały stan ziemiański, ale nie można temu zaprzeczyć, że pewna jego część nie sprostała twardym warunkom obecnego położenia i pochyliła się ku upadkowi. To usposobienie znacznej części tego stanu odbiło się na polityce ostatnich czasów i jest może główną jej przyczyną i sprężyną. Zdaje się jakoby stan ten czując osłabienie w swem łonie — zwątpił w siły żywotne całego ogółu polskiego i począł się oglądać — utartą zresztą tradycyą — na pomoc z zewnątrz przyjść mającą.

Czy ten, co taką prawdę tym warstwom otwarcie wypowiada, zasługuje już przez to na zarzut, że zieje nienawiścią do szlachty, że pragnie ją jeszcze więcej pognębić, że życzy jej zupełnego upadku i zguby — aby na jej miejsce postawić nowe żywioły, nowych ludzi? Nie przeczę, że w niektórych zbałamuconych umysłach pokutują takie myśli, ale identyfikowanie takich skrajnych zapatrywań z krytyką choćby najostrzejszą. jest albo grubem nieuctwem, albo grzeszną obłudą, nie wierzącą w zarzuty, które wypowiada. Czyż najsurowsze sądy własnego obozu nie wychodzą nieraz z ust najwybitniejszych jego reprezentantów?

To też mimo otwarcie wypowiedzianego zdania o „dekadencyi“ stanu ziemiańskiego można nie życzyć mu zupełnyj detronizacyi, lecz przeciwnie pragnąć gorąco, aby zdrowe jeszcze żywioły tego stanu pozostały na dotychczasowem stanowisku bojowników i sterników. Jako nieodzowny przecież warunek postawić należy dwa postulaty: aby tenże stan wytężył wszystkie siły w celu wewnętrznej reformy, a powtóre, aby — ze zrozumieniem dzisiejszej sytuacyi — widząc uszczuplone swe kadry i zagrożone pozycye narodowe — z całą szczerością przypuścił do uczestnictwa w kierowaniu sprawami publicznemi żywioły inteligentne ze wszystkich stanów — i żeby wraz z nimi szczerze i z poświęceniem pracował nad materyalnem, intelektualnem i moralnem podniesieniem wszystkich warstw naszego narodu — począwszy od własnego obozu aż do najbiedniejszego wyrobnika.

Odezwą się niezawodnie głosy: ależ to się działo i dzieje od najdawniejszych czasów aż do dnia dzisiejszego. Należy przyznać, że wielka część zasługi około podniesienia dobrobytu materyalnego i poziomu moralnego upośledzonych dawniej warstw przypada stanowi ziemiańskiemu, Brał on udział czynny we wszystkich pracach społecznych, czy to w Spółkach, czy w Kółkach rolniczych, czy w innych towarzystwach, nie wyjmując nawet przemysłowych, — ale temu zaprzeczyć nie można, że gdy te warstwy, nad których podniesieniem sam pracował, upomniały się nie tylko już o wspólną pracę w szeregach, — ale o równy głos i równy udział w kierowaniu sprawami publicznemi, natrafiły — nie powiem od ogółu, ale od pewnych sfer stanu ziemiańskiego na niechęć czy nieufność, która jeżeli nie wywołaną, to niepotrzebnie podsycaną była przez niektóre niefortunne wystąpienia drugiego obozu, o którym teraz powiem słów kilka.

Pierwszy okres rozwoju stanów średnich — upośledzonych w ustroju dawnej Rzeczypospolitej ostatnich dwu wieków — datuje się u nas z epoki między r. 1830tym a 1848-m. Głównym pionierem na tem polu był śp. Karol Marcinkowski, który założył fundamenty rozwoju—przedewszystkiem stanu mieszczańskiego. Tę epokę u nas słusznie nazwać można epoką Marcinkowskiego.

W r. 1848 przyszła kolej na trzeci stan — na lud wiejski. Konstytucya, wybory do sejmu, prawo stowarzyszeń — wciągnęły go w koło spraw publicznych, a Liga polska nakreśliła jasny program wszechstronnej pracy narodowej — a zatem i pracy nad ludem i pracy ludu samego. Rozwiązanie Ligi nie dozwoliło jej przeprowadzić wytkniętego programu, ale myśli i dążenia przez nią naszkicowane rozwijały się odebranym rozpędem. Towarzystwa i Kółka rolnicze, towarzystwa przemysłowe, Spółki różnego rodzaju, towarzystwa oświaty ludowej — wszystko to bliższa lub dalsza spuścizna po Lidze, tak iż tę epokę słusznie epoką Ligi nazwać by można. Epoka ta idzie do roku 1863 — przeciąga się po za ten rok do wojny francuskiej i do czasów walki kulturnej, która nową fazę wywołała w stosunkach naszych.

Tutaj występuje już lud samodzielnie, jako świadomy siebie i swych obowiązków czynnik, jako równouprawnione ogniwo w ogólnym ustroju naszego społeczeństwa. Żelazny książę zamiast złamać walką kulturną całe nasze społeczeństwo, wywołał przez nią na pole walki główną jego rezerwę — szerokie warstwy ludu naszego.

W tej walce, jako też wśród następującego po niej okresu ustaw antipolskich — lud polski dojrzał — a całe społeczeństwo stało i poczuło się jednem, jednolitem ciałem. Odtąd minęło niebezpieczeństwo grożące żywiołowi polskiemu pod panowaniem pruskiem! I mogło i powinno było społeczeństwo nasze poczuć się odtąd na

siłach, mogło i powinno było uwierzyć w te siły i ze spokojem czekać na daremne uderzenia i wysiłki ustaw antipolskich, które mogły były wyłamywać szczerby, mogły utrudniać walkę, ale niezdolne już były złamać niespożytych zasobów zlanego w jednę całość społeczeństwa. Walka kulturna i polityka antipolska hartowały nas, jak ogień żelazo.

W tej jednakże chwili począł się niestety chwiać szczyt narodowej piramidy. Zaczęły się z niej wyłamywać jeden kamień po drugim, zaczęły spadać coraz niżej — aż potoczyły się — w otchłań upokorzenia. Wyższe warstwy — widząc powstające szczerby — zamiast spoić pozostałe części za pomocą cementu własnego hartu i materyałów z dołu zaczerpniętych — poczęły tracić wiarę, wątpić o własnych siłach i szukać ratunku od zewnętrznej pomocy. Nie mówię tego o ogóle, ale o tych, którzy się wysunęli na przewodników i reprezentantów ogółu.

Dolne zaś warstwy — widząc chwiejące się i upadające szczyty — nie miały dla nich dostatecznego wyrozumienia, straciły także wiarę w możność wypełnienia szczerb powstałych — i dla tego postanowiły z pewną szorstkością (a jak autor „Dwóch obozów“ mówi: z brutalną otwartością) same na szczycie się usadowić. Ci, co pozostali jeszcze na górze, uważali to za grzeszny zamach na swe prawa i prerogatywy.

Zawiniły oba kierunki: — ruch ludowy, że zbyt gwałtownie piął się w górę, ci co byli jeszcze u szczytu, że nie podali ręki pnącym się w górę, aby uzupełnić powstałe szczerby i wzmocnić przez to całą budowę. Zupełnie niepotrzebnie, a ze szkodą sprawy — zawrzała walka domowa, pojawiły się wzajemne niechęci, podejrzenia i pogróżki.

Pamiętajmy, że duobus litigentibus tertius gaudet. Nam potrzeba zgody, — nie tej zgody, któraby żądała ustępstw z zasad, nie zgody jedynie dla miłego spokoju, aby spać można spokojnie na oba uszy, — lecz takiej zgody, któraby pozostawiając obu stronom samodzielność zdania, zapewniając obu obozom równouprawnienie, a przedewszystkiem przyznając przeciwnikom dobrą wiarę, uznawała potrzebę wspólnej akcyi i wiodła do złączenia wszystkich sił wobec naporu zewnętrznego.

Kto ma być rozjemcą wśród tej domowej waśni — prowadzącym oba obozy do upragnionej a szczerej zgody? Mogłoby nim być albo nowe stronnictwo łączące wszelkie zdrowe i dodatnie żywioły obu kierunków, albo organizacya obejmująca wszystkie stany. Stworzenie takiego porozumienia zapoczątkował przed kilku miesiącami jeden z ziemian naszych. Rzecz zapowiadała się poważnie — ale, niewiadomo z jakich przyczyn, zasnęła. Dla dobra naszej sprawy życzyć należy, aby ją na nowo podjęto.

Jakie stanowisko winien zająć „Przegląd“ w tej sprawie? Jako organ inteligencyi postępowej, ale bez skrajnych tendencyj, mógłby i powinienby zająć stanowisko rozjemcy, prowadzącego do rozbudzenia wiary we własne siły, starającego się pokrzepić i zorganizować te siły i zespolić wszystkie dodatnie żywioły wszystkich kierunków i odcieni — w celu rozszerzenia podstawy i wzmocnienia obrony naszej narodowej. Nie wątpię, iż pracując w tym kierunku zjednałby sobie zwolenników i współudział wszystkich dodatnich żywiołów z obozu, który sobie pozwolę nazwać zachowawczym, a w sojuszu z tymi żywiołami mógłby popierać skutecznie słuszne i uprawnione dążenia ruchu ludowego, a przez to przyczyniać się do zdrowego rozwoju i stałego postępu całego naszego społeczeństwa.

Bojan.

Reforma ustawy prasowej w Austryi
i Koło polskie w Wiedniu.

I.
Ustawa dotychczas obowiązująca.

Nic łatwiejszego na oko, jak wydawać pismo peryodyczne w Austryi. Potrzeba tylko zawiadomić prokuratoryę i miejscową władzę policyjną, że się ma zamiar wydawać pismo pod takim a takim tytułem; w zawiadomieniu tem, należy podać nazwiska i miejsce zamieszkania redaktora odpowiedzialnego, wydawcy i drukarza, oznaczyć terminy, w których pismo ma się ukazywać, a wreszcie przedstawić „pogląd na materye w nim obrabiać się mające“ (§ 10 ustawy). Jeżeli redaktor odpowiedzialny stosownie do wymagań ustawy jest obywatelem austryackim, pełnoletnim i własnowolnym, w miejscu wydawnictwa zamieszkałym, jeżeli wreszcie nie popełnił czynu karygodnego, któryby mu odbierał obieralność do reprezentacyi gminnej, lub jeżeli nie znajduje się w areszcie śledczym — to władza nie ma prawa zabronić wydawnictwa pisma i jeżeli w ciągu ośmiu dni nie podniesie zarzutu z ustawy wypływającego, to można bezpiecznie oddać pod prasę drukarską pierwszy numer nowego organu opinii publicznej. Chyba, że pismo należy do rzędu tych, co muszą składać kaucyę — w takim razie przed wydaniem pierwszego numeru trzeba jeszcze wykazać się, iż kasa państwowa przyjęła pod swój klucz sumę przez ustawę przepisaną.

Kaucyi tej nie składają jedynie wydawcy pism, wychodzących nie częściej, niż dwa razy na miesiąc, bez względu na ich treść i program, oraz wszelkich czasopism, bez względu znowu na termin ich wychodzenia, jeżeli się nie zajmują polityką, sprawami religijnemi i społecznemi. Kto chce wydawać pismo częściej niż dwa razy na miesiąc, a „choćby ubocznie“ (§ 13) poruszać w niem politykę, sprawy religijne i społeczne, ten musi iść wprzód do kasy rządowej z prośbą o przyjęcie na przechowanie odpowiedniej gotówki, lub papierów wartościowych, uznanych przez rząd za dające zupełną gwarancyę nieposzlakowanej cnoty pieniężnej. Kaucya dla pisma codziennego wynosi w Wiedniu 8000 złr., w miastach, mających nad 60,000 mieszkańców (a więc między innemi we Lwowie i Krakowie) 6,000 złr., w miastach, liczących nad 30,000 ludności 4000 złr., w innych zaś miejscowościach 2000 złr. Dla pism niecodziennych przepisuje ustawa kaucyę o połowę mniejszą. Kaucya ta przepada całkowicie lub częściowo na pokrycie kar pieniężnych przez sąd na wydawnictwo nałożonych, lub też na zwrot kosztów sądowych, — a w takim razie w przeciągu trzech dni musi wydawca dać nową kaucyę, lub ją uzupełnić, jeżeli chce dalej wydawać czasopismo.

Złożyłeś wydawco kaucyę, dopełniłeś drobnych przepisów prawnych — masz już więc carte blanche na pisanie i drukowanie co ci się podoba, czego twa dusza zapragnie.

Tylko pamiętaj jeszcze, jeżeli wydajesz pismo codzienne, tygodniowe, a nawet 13-dniowe, że choćbyś nie dotykał w niem polityki, spraw religijnych i społecznych, musisz najpierw posłać papier do ostemplowania. Drobiazg! — zapłacisz wszystkiego 1 centa od numeru, czy on się składa z ćwiartki papieru w 16-ce, czy z kilku arkuszy druku. Chcesz sobie n. p. wydawać pisemko brukowe, małego „Kuryerka“ płacisz centa od numeru — a tegoż samego centa płaci i „Neue Freie Presse“ za pięć wielkich arkuszy druku. Od razu czujesz obywatelu, że jest tu coś w nieporządku, bo równy stosunkowo haracz składasz ty biedaku, mający tylko przed sobą jakieś nieokreślone nadzieje, co pisma mające po kilkadziesiąt, a nawet setki tysięcy dochodu. Ale ktoby się tam kłócił o centa — szkoda nawet gadania, nieprawdaż? Tylko to bieda, że z centów rosną guldeny, z pojedyńczych guldenów rosną dziesiątki, setki, tysiące... Jeżeli twoje pisemko rozchodzi się dziennie w tysiącu egzemplarzy, to cię ten stempel centowy (swoją drogą ładny, okrągły, z dwugłowym orzełkiem) kosztuje dziennie 10 złr. miesięcznie 300 złr., roczn-

---

5)

Dr. PIOTR.

NOWELLA,

przez

Stefana Żeromskiego.

(Dokończenie.)

W pobliżu drzwiczek tliła się już zaledwie kupka węgli. Wiotka, jasnofioletowa perzyna powlekała je zwolna, a po niej migały raz za razem różowe, pełzające iskierki. Pan Dominik przypatrywał się iskrom i ruszał wąsami, jakby tym błędnym światełkom opowiadał tajemnicze historye. Co pewien czas wyciągał rękę i odgarniał kożuch śmietanki w garnuszku, przystawionym do węgli.

U wezgłowia doktorowego posłania stał stary zegar. Wahadło kołysało się nad samą jego głową. Kiedy pomykało na lewo, w cień, na upstrzonej przez muchy jego powierzchni błyskał klinik światła. Wydawało się, że stary perpendykuł rozdziawia usta i pęka z radośnego śmiechu. Wewnątrz pudła, przysypanego wieloletnim kurzem, stuka chrzęst trybów, niby bicie serca zestarzałego gruchota. Melodya jego szeptu unosi się nad rozmarzoną głową śpiącego, jak śpiew znajomy, rozkochany, tęskny i niewysłowienie słodki.

Ty nie wiesz, — śpiewa, — ty nie wiesz, dziecko, co to jest tęsknota.... Spojrzyj, tylko raz, spojrzyj tylko, śpiochu, dźwignij powiekę. Widzisz tę łzę, co wytłoczyła się z oka starszego pana Cedryny, jak łódź na końcu katapulty, zawisła na końcu najdłuższego włosa w lewym wąsie? Co to za ciężar, co to za ogromna łza, jaka monstrualnie wielka łza! Pac — zleciała z łoskotem na przyszwę lewego buta. Co to, co to? — Wysuwa się druga, jeszcze ogromniejsza, jeszcze cięższa... Kap! — już wisi na wąsie. Starowina boi się bardzo, aby nie upadła na pogrzebacz i głośnym upadkiem snu twojego nie spłoszyła. Patrz, jak ją paradnie, jak śmiesznie i niezgrabnie zdejmuje z wąsa dwoma palcami... Te łzy — gada stary zegar — były cieńszemi, niż nitka pajęcza, włókienkami w sercu, w tem miejscu, gdzie jest nigdy nie schnąca ranka tęsknoty. Było ich mnóstwo, a każda miała brzeżki ostre, jak żądło komara. Siedziały jedna obok drugiej komunikiem i nosiły szumny tytuł lasecznika tęsknoty. Niejednemu te figlarne istoty wyssały duszę, niejednemu odgryzały rozum... tak, tak, czcigodny organizmie... A ty, mocarzu, zadałeś im truciznę jednym jedynym synowskiem uściskiem.

Każda skonała i rozpłynęła się w wielką łzę szczęścia. Ach, tylko pomyśl, — gdyby, choć jedna z tych łez upadła na twoją duszę!... Ach, tylko pomyśl — wszak ona straciłaby cię z oblicza ziemi, — ach, tylko pomyśl...

W pochodzie kółek i walców gadatliwego klekota nastąpił raptem jakiś kataklizm, jakby stary zegar przyciął sobie język własnymi zębami. Rozległ się tępy szczęk, zamieszanie, łoskot i powoli z majestatem, niedołężnie naśladującym głos kukułki wybiła dziesiąta. Młody człowiek oczami nawpół rozwartemi wpatrywał się w okno, odtajałe w promieniach wesołego słońca. Widział skrawek równiny, iskrzącej się od kryształków śniegu, smugę oddalonego lasu i kawałek przeczystego, bladego nieba. Ogarnęła go jakaś boska fantazya. Czuł wyraźnie, że ta chwila, co przemija, ten ułamek czasu, co trwa między jednem a drugiem poruszeniem wahadła — to najwyższy i najszczytniejszy, kulminacyjny moment, że to jedyny na całe życie zenit młodości. Cóż mogło być przedtem i co może być potem? Jakież uczucie można przyrównać do tego ostrego widzenia całej drogi życia, do tej twardej pewności: — to, co w tej chwili postanowię, będzie nie tylko mądre i godziwe, ale i dobre?...

— Nie, nie pojadę do żadnej Anglii myślał pan Piotr. Nie nas brać na kawał! Odeślę belfrowi trzysta franków, — przecie zarobię choćbym miał gnój wyrzucać...

* *

3600 złr. Wielkie pisma wiedeńskie ciężaru tego nie czują, bo umieją sobie „radzić“. — dla prasy prowincyonalnej, a więc n. p. galicyjskiej stempel jest ruiną i bodaj czy nie jedynym powodem małego jej rozwoju i równie małej wartości.

Potrzeba choć kilku słowy oba te twierdzenia uzasadnić.

Stempel jest ojcem korupcyi wielkiej prasy wiedeńskiej. Pismo, które płaci rocznie 80, 100, 150, a nawet 200 tysięcy złr. za stempel, a musi dla wytrzymania konkurencyi dawać dużo zadrukowanego papieru, płacić znaczne honorarya współpracownikom i korespondentom, oznaczać przytem niską prenumeratę, nie może prawie z natury rzeczy być uczciwem, niesprzedajnem. „Panama“ dziennikarska wiedeńska jest wszystkim znaną, a ponieważ jest znaną, przeto nikt jej nie „odkrywa“. Co w roku 1873 spowodowało olbrzymią katastrofę finansową, jeżeli nie sprzedajność tej prasy, która za pieniądze popierała i popiera wszelkie interesy, pisze reklamy dla szwindlerskich banków i przedsiębiorstw? Ile to Länderbank n. p. przy założeniu swojem musiał zapłacić „łapówek“ prasie wiedeńskiej, a wstyd powiedzieć i dla Galicyi coś się z nich okroiło. Płaci się za wszystko, nawet za popieranie rzeczy uczciwych, rzeczy dobra publicznego. Stworzysz instytucyę humanitarną, a pragniesz dla jej rozwoju jakiegokolwiekbądź rozgłosu, musisz się opłacić tej obrzydliwej prasie. Wydawnictwo bierze „łapowe“ na wielką skalę, otrzymuje stałe subwencye za milczenie (schweiggeldy) lub za popieranie; za przykładem wydawnictwa idą współpracownicy: każdy prawie bierze, co mu w rękę wpadnie. Nie wierzcie też bardzo jeżeli czytacie w jakiemś z pism wiedeńskich pochwałę, choćby jakiego dzieła sztuki, bo jestto bardzo prawdopodobne, że artysta umiał być „grzeczny“ dla renomowanego sprawozdawcy.

Pisma galicyjskie, nie żyjąc tą industryą, muszą albo opierać się na subwencyach udzielanych w bardzo drobnych kwotach przez „przyjaciół politycznych“, albo też chcąc związać koniec z końcem, zaprowadzić oszczędności, obniżające wartość wydawnictw. Członkowie redakcyj, z wyjątkiem paru pism, są licho płatni, korespondencye piszą się na miejscu, o dobrym fejletonie, o współpracownictwie wybitnych sił literackich i mowy być nie może. Nożyczki wypełniają w połowie funkcye redaktorskie; są organy, które w tem doszły do wprawy idealnej!

Równolegle z tem idzie zależność większej części galicyjskiej prasy. Jedne dzienniki są zależne od akcyonaryuszów i muszą popierać jedynie interesy i ludzi stronnictwa, drugie są zależne od wszystkich. Przytoczę jeden przykład. Dyrekcya kolei państwowej daje pewien ryczałt roczny dziennikom za ogłoszenia i udziela im oznaczonej liczby biletów wolnej jazdy. Niektóre jej rozporządzenia wywołały krytykę części organów prasy, dyrekcya więc odjęła im i ogłoszenia i bilety. Dla pism ledwie swój żywot wlekących taka kara była olbrzymią — a więc od pewnego czasu ucichły w niektórych pismach narzekania na dyrekcyę kolei państwowych.

Stempel zmusza do wysokiej ceny prenumeraty, — a wysokość jej ogranicza liczbę prenumeratorów. Przyczynia się do tego i opłata pocztowa znacznie wyższa niż w sąsiednich państwach (z wyjątkiem Rosyi). Sam stempel i poczta wynoszą od pisma codziennego kwartalnie 1 złr. 80 ct. (za odnoszenie do domu jeszcze osobno się dopłaca) — a wskutek tego nie ma całkiem w Galicyi pisma codziennego, a choćby co drugi dzień wychodzącego dla sfer średnich, rzemieślniczych, robotniczych i dla włościan! Górą ciemnota! — cywilizacya i inteligencya muszą opłacać n a j w y ż s z y p o d a t e k w Austryi za prawo życia i powolnego rozwijania się.

Dodać jeszcze należy, iż pisma rządowe nie opłacają całkiem stempla, nie płacą portorium i otrzymują obowiązkowe ogłoszenia, czynią przeto w najwyższym stopniu konkurencyę prasie niezależnej. To mało, bo c. k. rząd ma prócz tego fundusze, którymi subwencyonuje pisma wyznające i popierające jego politykę. Nawet w Galicyi znam (a raczej znałem, bo pismo już nie wychodzi) przykład tej pieczołowitości rządu o dobro prasy..... niezależnej.

Nie na tem jednak koniec przyjemności wydawców pism w Austryi. Istnieje w niej specyalność, nigdzie nie spotykana, a mianowicie prawo konfiskaty dziennika przez prokuratoryę państwa, kiedy jej się tylko podoba. Wskutek tego istnieje nie jedna ustawa, ale tyle ustaw ilu jest prokuratorów, przeznaczonych do przeglądania dzienników i wogóle wydawnictw pojedyńczych.

Inna jest swoboda prasy w Wiedniu, niż w Galicyi, inna we Lwowie, niż w Krakowie. Jeżeli artykuł wydrukowany w stu pismach i puszczony przez stu prokuratorów, niepodoba się np. prokuratorowi w Ołomuńcu lub Stanisławowie — nie ma rady, cały nakład miejscowego pisma spocznie w lokalnościach c. k. policyi. Niespodzianki takie są na porządku dziennym.

Prokuratorya przytem nie ma obowiązku powiedzieć za co konfiskuje — przepis ten pochodzi ze względów etycznych, boć „ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła“. Prawda, z prawa tego prokuratorya rzadko korzysta, ale korzystać może i jeżeliby było pismo, któreby się bardzo nie podobało rządowi, redaktor nie byłby w stanie wydać drugiego nakładu, bo nie wiedziałby co opuścić. Przypominam sobie, jak raz w pewnej redakcyi po zaszłej świeżo konfiskacie, zachodziliśmy w głowę co ją mogło spowodować, bo numer był niewinny, jak nowonarodzone dziecię. Pobiegł jeden z nas do prokuratoryi, a reszta w debaty. Jednemu się zdaje że ten ustęp uznano za karygodny, drugiemu że tamten, trzeciemu, że jeszcze inny: bądź co bądź jeden z tych trzech, bo choć są bardzo grzeczne, całkiem ustawowo lojalne, to kto wie, może w skutek niestrawności żołądka, lub zajścia z magnifiką, dopatrzył się w którym z nich pan prokurator zamachu na całość państwa, społeczeństwa lub na spokój publiczny. Powraca nasz poseł i okazuje się, że wszystkie trzy podejrzane o nielojalność ustępy otrzymały rozgrzeszenie prokuratorskie, a zbrodniarzem jest ustęp czwarty, w którym troszkę drastycznie przedstawiono sercowe potrzeby jednego z ościennych monarchów, żyjących przed 150 lat.

Wydawałem sam kiedyś pismo codzienne. Zostało ono po raz pierwszy skonfiskowane za to, że nie podobała mi się pod pewnym względem austryacka gospodarka finansowa. W parę dni później umieściłem w fejletonie humorystyczną kronikę tygodniową, którą rozpocząłem od wyrażenia radości, że dziennik mój otrzymał już chrzest prokuratoryi, a artykuł mój tak się jej podobał, iż pragnęła go posiadać w tysiącu egzemplarzy. Na moją radość pan prokurator odpowiedział mi konfiskatą kroniki, uznał ją bowiem za lekceważenie i ośmieszanie urzędu. Sąd konfiskatę zatwierdził. Odwołałem się więc do wyższej instancyi i wyraziwszy moje niezmierzonej głębokości uczucie poszanowania dla c. k. prokuratoryi, przedstawiłem trybunałowi, iż ś. p. Lam zwykł był zawsze omawiać humorystycznie konfiskatę swoich kronik, a prokuratorya lwowska nigdy nie czuła się tem obrażoną. Przegrałem sprawę, trybunał bowiem uznał, iż prokurator w Krakowie ma prawo więcej być obraźliwym niż prokurator lwowski.

Z przytoczonego wspomnienia czytelnik domyśli się łatwo, że konfiskata prokuratoryi potrzebuje zatwierdzenia sądu i że służy jeszcze prawo odwołania się do wyższej instancyi. Bardzo to ładnie wygląda w teoryi, ale gorzej w praktyce. Naprzód nie można z drugiem wydaniem numeru czekać na orzeczenie sądowe, które w kilka dni dopiero zapada. Dalej w ra-

---

Po upływie kilku dni i nocy siarczyście mroźnych — nastała odwilż. Znikła cudna przejrzystość przestrzeni, opadły delikatne pyłki mrozu, kołyszące się nad twardymi jak kamień pokładami śniegu, zginął szron, różowy w promieniach słońca, co stroił suche szkielety topól, cienkie pręty porzeczek i obumarłe badyle, wystające z pod śniegu. Od rana kapały z dachów wielkie brudne krople, w powietrzu zawisły bałwany szaro-żółtej pary, przytłaczające sobą dym, tułający się po dachach. Na krańcach widnokręgu waliły się mgły nieprzejrzane na podobieństwo niezmiernych ciężarów, co zdołałyby wgnieść w ziemię i wzgórza, i lasy i wsie odległe.

O godzinie pierwszej z południa pan Dominik powracał z powiatowego miasteczka wynajętą furmanką.

Chude chłopskie szkapięta brnęły w roztajałym śniegu, bose sanice docierały do gruntu jak po maglownicy, albo zataczały się w wyboje i zatoki. Stary jegomość otulał się zrudziałymi szopami, nasuwał kaszkiet na oczy i, ćmiąc niekosztowne cygaro, „myślał sobie.“ Jeździł niegdyś czwórką wałachów i wspaniałemi saniami, z furmanem w złotawej liberyi, otulał się niegdyś kiereją, srogimi niedźwiedziami podbitą... Boże drogi! — ziemia drżała, jaszczury słychać było pół mili, konie parskały, chłopy i żydy bez czapek... Phi — czy tam teraz jest gorset — któż to wie? Nigdy przecie jazda saniami przez puste pola nie sprawiała mu takiej przyjemności, jak dziś, kiedy jedzie chłopskim wasągiem... W domu czeka pan dr. Piotr Cedryna- Ha, ha... Nuże, szkapy, bierzcie się w kupę! Jeszcze tylko jeden lasek, tylko mały wąwozik pod Zapłociem...

— Ciekawa historya, — myśli pan Dominik — czy Piotrek zrobił i przepisał rachunki? Myślał huncwot, że mu dam łazić całymi dniami po chałupach (pewno dziewuchy niemieckiego uczy...) i bąki zbijać. Aha... — posiedź no waćpan, mości chemiku nad prowentowym kałkułem, pododawaj cyferki, napisz ładnym charakterem wykazy dla pana inżyniera, wyręcz starego ojca. Zadarmo ci będę zwoził przedni tytoń i tracił fortunę na sardynki?

Konie wbiegły na podwórze i zatrzymały się przed gankiem dworu. Pan Cedryna wylazł ze sanek i wszedł do sieni, z hałasem otrzepując buty ze śniegu. We drzwiach pokoju stał dr. Piotr.

— Co to? ciebie, widzę, głowa boli! — zakrzyknął pan Dominik.

— Ale gdzież tam... odpowiedział syn z przymusem.

— A cóżeś taki blady i skrzywiony?

Młody człowiek miał w rzeczy samej minę niewesołą.

Spojrzenie oczu jego dziwnie wyziębłe przyćmiło się smutkiem. Chodził z kąta w kąt, nerwowo paląc papierosa.

— Każę ja Jagnie podać barszcz, to ty mi zaraz nabierzesz rezonu. Bez barszczu, mówię ci, człowiek zawsze kiepsko się czuje.

— Ja nie będę mógł jeść, a zresztą — mało mam czasu.

— Mało masz czasu?

— Tak, — powiedział dr. Piotr szorstko, — ja... widzi ojciec... ja muszę jechać. Trudna rada — muszę jechać dla objęcia tego miejsca w Hull.

Pan Dominik nic nie rzekł. Nie zdejmując futra, ani czapki usiadł na stołku i zwiesił głowę. Nie zważał na to, co syn robi, nic nie widział. Czuł tylko, że mu duszno, ciasno we własnych piersiach. Radby był wyjść na świeże powietrze, ochłonąć i zebrać myśli, ale nie mógł jakoś dźwignąć się z miejsca. Młody człowiek porządkował papiery i książki rachunkowe, rozrzucone na stole. Wziął w rękę niewielki, stary zatłuszczony notes, obwiązany brudną tasiemką i przewracał w nim kartkę za kartką.

— Proszę ojca, — rzekł z żalem i smutkiem w głowie, — w tym notesie wyczytałem, że cięży na mnie dług, który muszę zapłacić bez zwłoki.

— Daj ty mi spokój, daj mi spokój, — odpowiedział stary Cedryna, opierając głowę na ręku.

zie niezatwierdzenia konfiskaty prokurator rekuruje, a choćby się w drugiej instancyi wygrało sprawę, to odszkodowanie, o które ma się prawo skrzywdzony upominać, jest tak nizkie, że poniesionej przez konfiskatę straty ani w połowie wynagrodzić nie zdoła. Potrzeba więc poprzestać jedynie na moralnej satysfakcyi. Ale ta bywa tak niezmiernie rzadką, że najczęściej wydawca nie wnosi nawet sprzeciwu (piękny wyraz!) w razie zatwierdzenia konfiskaty przez trybunał pierwszej instancyi. Do spraw prasowych bowiem zwykle naznaczeni bywają ci radcy sądowi, którzy niedawno sami byli prokuratorami, a wiadomo, że „czem się skorupka za młodu napoi, tem na starość trąci“. Wynik więc rozprawy taki, że prokurator konfiskujący na sto razy ma słuszność razy 99. Z praktyki mojej wydawniczo-dziennikarskiej mam na to przykład idealny. Było to w r. 1887 czy 1888, kiedy horyzont polityczny nagle się zaciemnił i zdawało się, że wojsko austryackie złoży egzamin z wprawy, jakiej nabyło we władaniu bronią i maszerowaniu. Urzędowe czasopismo wojskowe doniosło, że jakiś pułk z okolic Wiednia, przeniesiony zostanie do Galicyi. Wiadomość tę powtórzyły wszystkie pisma galicyjskie. Nigdzie tej wiadomości nie skonfiskowano; ani w Wiedniu, ani we Lwowie, ani w Pradze, ani w żadnem innem miejscu. Prokurator krakowski jednak uznał, iż przyszły nieprzyjaciel (Rosya) informuje się specyalnie z pism krakowskich i na raz jeden „Czas“, „N. Reforma“ i mój „Kuryer“ znalazły się w areszcie. Sąd konfiskatę zatwierdził. Rekurowałem. Dowodziłem przed wyższą instancyą, że nie stoję w tak bliskim stosunku z armią, abym mógł mieć pierwsze o niej wiadomości, że przyszły, a zarazem przeszły nieprzyjaciel, (bo już się tymczasem wypogodziło na horyzoncie politycznym) ma tysiączne sposoby dowiedzenia się wprzód o ruchu wojsk, aniżeli redaktor „Kuryera“, przedłożyłem wreszcie numery pism wiedeńskich i urzędowego organu wojskowego na dowód, że wiadomość ta została przez nie wcześniej podaną i nie wywołała obawy wiedeńskiej prokuratoryi, wykazałem wreszcie, że dzienniki „wszystkich krajów koronnych w radzie państwa reprezentowanych“ drobną tę wiadomość przedemną, albo równocześnie ze mną podały i prokuratorowie w całej Austryi nie mieli do nich o to pretensyi. Cieszyłem się, że raz wreszcie będę na górze, a prokuratorya krakowska na dole. Mowa moja była łaskawie wysłuchaną, zauważyłem nawet lekkie uśmiechy na licach czcigodnych członków trybunału i patrzyłem na prokuratora jak tryumfator na zwyciężonego. Prokurator bronił się, ale mu jakoś nie szło; zasypywał się biedaczysko co chwila. Podrapałem go jeszcze nieco na końcu w ostatnim przemówieniu i sąd udał się na ustęp. Powrócił wreszcie — a po chwili uśmiechał się prokurator, a mnie łzy boleści kapały na serce. Sąd uznał w zasadzie słuszność tego wszystkiego co mówiłem, ale zawsze: a nuż, kto wie, może ta wiadomość mogła rozsadzić monarchię? — a więc „odwołanie się p. wydawcy „Kuryera“ pozostawia sąd bez skutku“.

I niech teraz kto dowodzi, że warto, trzymając się ustawy, wnosić odwołania od zatwierdzenia konfiskaty.

Jeżeli zaś kto ciekawy za co prokuratorya konfiskować może, odpowiem krótko: za wszystko. Naprzód za obrazę majestatu, członków domu cesarskiego i członków innych domów panujących tak żywych jak i zmarłych przed wiekami (przytoczyłem na to fakt powyżej). Dalej konfiskacie podlega: namawianie do gwałtownej zmiany konstytucyi, oraz wzniecanie do niej pogardy — od prokuratora więc zależy, co uważa za „gwałtowność“ i co za „pogardę“. Zabronione są również „zaczepki“ jednej z dwu izb Rady państwa, Sejmów, władzy rządowej, armii, marynarki, „lub oddziałów tychże samodzielnych“ (art. V noweli karnej z 17 grudnia 1862 r.) jeżeli to może wzbudzić dla nich nienawiść lub pogardę. — znowu od prokuratora zależy ocena „nienawiści“ i „pogardy“. Konfiskacie ulegają następnie podburzania przeciw sobie klas społecznych (co tu za pole dla dowolności prokuratora!) i obrazy honoru urzędnika lub sługi publicznego, duszpasterza, albo wojskowego, „dotykające pełnienia przez nich obowiązków swego powołania“, (tenże artykuł) — nie zawadzi dodać, że prokuratorya dba o honor nie tylko władz austryackich, (czego dowodem były konfiskaty za brak grzeczności... dla Bismarcka!) Nie wolno podawać przed karną rozprawą aktu oskarżenia, ani rozprawiać o prawnej mocy dowodów w toku sprawy karnej. Rozgłaszanie wszelkich wiadomości o armii, stanowisku wojsk i okrętów, o warowniach, przesyłkach potrzeb wojennych itd. jest karygodne „skoro winowajca mógł domyślić się (ciekawym jak tego można dowieść), że przez taki rozgłos państwo może być narażonem na niebezpieczeństwo“ (art. IX tejże noweli. Wreszcie wogóle wszystkie paragrafy ustawy karnej mają zastosowanie do czynów karygodnych, do naruszenia spokoju publicznego, obrażania moralności publicznej i t. d. Wobec tego jest prokurator panem życia i śmierci dzienników, bo cóż się nie da podciągnąć pod paragraty kodeksu karnego i ustawy prasowej? Wszelka krytyka istniejących stosunków i osób należących do jakiejkolwiek władzy, choćby sług tylko, może być łatwo uważana za nienawiść lub pogardę. Ciekawą ilustracyą do tego są konfiskaty, jakie spotykały przed kilkunastu laty pismo humorystyczne „Harap“, wydawane w Krakowie przez p. M. Wołowskiego. Pismo to występowało przeciw ówczesnemu prezydentowi miasta ś. p. Zyblikiewiczowi i każdy też artykuł o nim, choć nie było wymienione jego nazwisko, był konfiskowany. Redakcya chcąc omylić czujność prokuratoryi umieściła bardzo trudny do odgadnięcia logogryf o Zyblikiewiczu, nie przypuszczając, aby prokurator był nawet mistrzem w odgadywaniu logogryfów. Konfiskata wykazała, że ten pan był geniuszem, bo wszystko umiał, a mając widocznie sporo czasu, domacał się nienawiści — nawet w logogryfie.

Paragraf 23 ustawy prasowej nie dozwala po części nawet prowadzić polemiki w imię lojalności, obrony konstytucyi, praw obowiązujących, i t. d. przeciw pismom i drukom za karygodne uznanym. Możesz powiedzieć, że pismo X. popełniło zbrodnię, ale na dowód tego odpowiednich z niego ustępów przytoczyć ci nie wolno. Jednemu z powieściopisarzów konserwatywnych konfiskowano całe ustępy, w których walczył przeciw socyalizmowi — też same ustępy wydrukowano w całości pod cenzurą rosyjską w Warszawie. Niedawno podobny los spotkał redakcyę „Czasu“ za odezwę Kościuszkowską, wydrukowaną w pismach poznańskich i lwowskich, pomimo, że redakcya jednocześnie umieściła ostrą jej krytykę. Odezwa nareszcie była tak niewinną, że nawet sąd (o cudzie!) zniósł konfiskatę.

Musisz więc wydawco złożyć kaucyę, prowadzić się porządnie (jeżeli jesteś zarazem odpowiedzialnym redaktorem), składać olbrzymi haracz w postaci stempla na pokrycie deficytu państwa i spodziewać się każdej chwili często najzupełniej nieuzasadnionej konfiskaty, — ale masz za to prawo pismo wydawać. Tylko nie myśl, że, jak się to dzieje w całej Europie, Ameryce, a prawdopodobnie i w innych częściach świata, wolno ci będzie twoje pismo sprzedawać w kioskach i sklepach, posyłać z niem chłopaków na ulice, do ogrodów, kawiarni, restauracyj i wogóle na miejsca publiczne, że wolno ci będzie mieć jakich sobie wybierzesz ajentów dla zbierania prenumeraty. Nie, tego ci nie wolno. Musisz dopiero wnosić podania o pozwolenie wymienionym szczegółowo sklepom utrzymania agencyi twego pisma i o zbieranie prenumeraty wskazanym osobom — od policyi zależy, czy da przychylną opinię namiestnictwu, które dopiero ma prawo uwzględnić lub odrzucić twoje podanie. Są więc pisma (n. p. socyalistyczne, — we Lwowie przez pewien czas podlegał temu losowi „Kuryer lwowski“ i „Sztandar“ Gniewosza,

---

— Zanim wyjadę, muszę ojcu wytłómaczyć, dla czego powziąłem decyzyę wyjazdu.

— Co ty wytłómaczysz, głuptasie, co? — porwał się starzec. Jedź, jeśli taka twoja wola. Tylko mi już, przez litość, nie każ podziwiać twojej mądrości!

— Chcę pomówić szczerze i otwarcie o interesie doniosłego dla mnie znaczenia. Przed czterema laty przysłał mi tatko ratami dwieście rubli. W roku następnym zaś dwieście rubli. Potem dwieście pięćdziesiąt rubli i zeszłego roku znowu dwieście. Razem ośmset pięćdziesiąt. Pensya, jaką ojciec pobiera wynosi trzysta rubli na rok. Skądże?..

— Synku kochany... nie chciej mię aby robić złodziejem, Jeżeli uważnie przejrzałeś rachunki, to musiałeś dostrzedz, że nie przywłaszczyłem sobie ani kopiejki Bijakowskiego. Wszystko jest w wykazach. Że nie sprzedawałem potajemnie ani wapna, ani cegły, możesz także przekonać się z rachunków. Daję ci zresztą słowo honoru... Nie mam na sumieniu ani jednej kopiejki Bijakowskiego! Tak mi Boże dopomóż!

— Tak — to zupełna prawda.

— Skoro występujesz w roli oskarżyciela, to powinieneś znać się choć trochę na interesach. Cały sekret polega na tem, że Bijakowski dał mi upoważnienie do pobierania oryginalnej wprawdzie tantyemy. Od sprzedaży nigdy mi jej przyznać nie chciał, a natarczywe moje żądania zbywał zawsze jedną śpiewką: produkuj pan taniej, a co na tem osiągniesz — to twoje. Obiecał ludziom początkowo po trzydzieści kopiejek. Ja im dałem później po dwadzieścia pięć i po dwadzieścia, no i, rozumie się, przystali, bo nigdzie więcej nie zarobią, a tu mają zarobek pewny. Tym sposobem uzbierało się trochę grosza dla ciebie.

— Tak, — to dostrzegłem w rachunkach...

— I to jest cały sekret, oskarżycielu. Złodziejem nie byłem i, da Bóg nie będę!..

— I ja nim być nie chcę, mój ojcze. To też ośmset pięćdziesiąt rubli muszę zwrócić...

— Komu masz zwracać? Ja tych pieniędzy nie przyjmę! — wiedz o tem — nie przyjmę! Nie mogłem ci dawać na utrzymanie i edukacyę więcej. Bóg widzi, ale co mogłem... Starałem się choć trochę wywiązać z powinności ojcowskiej.

— To nic, ojciec dawał mi na edukacyę i nie ojcu mam zwrócić ten dług gorzki i straszny....

Dominik Cedryna wysoko podniósł brwi i ze zdumieniem patrzał na syna,

— Ty chyba masz bzika, mój Piotrusiu. Cóż ty pleciesz?

Doktór Piotr usiadł przy stoliku, przysunął arkusz czystego papieru i zaczął mówić powoli:

— Wartość każdego towaru po ukończeniu produkcyi składa się z kapitału stałego, oznaczmy go literą c, z kapitału zmiennego) czyli płacy najemników, (dajmy na to v) i z tak zwanej wartości dodatkowej, czyli zysku, co oznacz m literą p. Stosunek wartości dodatkowej do kapitału zmiennego, czyli zysku do płacy najemnika p: v — pokazuje stopę wartości dodatkowej, czyli normę wyzysku. Obliczmy, proszę ojca, skrupulatnie przychód i rozchód...

Nad wieczorem dopiero skończył się zajadły spór między ojcem i synem. Obadwaj zamilkli pod wpływem tej zaciętości, co zdaje się zamykać serce tak szczelnie, jak się zamyka wieko trumny nad drogiemi zwłokami.

Stary obojętnie i z pogardą patrzał na krzątanie się doktora Piotra dokoła walizki. Od czasu do czasu szyderczy uśmiech przemykał po jego wargach i oczy błyskały gniewem. Po długiem milczeniu wyniośle i obojętnie rzekł:

— Czy tutaj nie mógłbyś stanowczo zarobić, aby uczynić zadość głupim sentymentom?

— Nie mógłbym, proszę ojca, tak prędko jak tego pragnę. Tam mam miejsce i płacę stosunkowo niezłą.

— Możnaby i tu znaleźć posadę. Bijakowski...

— Ja nigdy i nic wspólnego mieć nie będę z panami Bijakowskimi. Nikt mię nigdy nie protegował, oprócz moich wiadomości pracy.

które jedynie mogą być nabywane w lokalach administracyi. Sprzedaż na ulicach i w miejscach publicznych wszystkim pismom stanowczo jest wzbroniona.

Tak się przedstawia „swoboda (?) prasy" w Austryi. Że pisma mogą wychodzić i jako tako rozchodzić się, zawdzięczają to jedynie grzeczności władzy, jeżeli nie chce ona korzystać z praw swoich, lub pobłażliwem okiem spogląda na przekroczenia. Prokuratorowie (trzeba przyznać suum cuique) prawie bez wyjątku wskazują, na prośbę wydawców, ustępy podległe konfiskacie, a policya patrzy przez palce, jeżeli kilka znanych jej indywiduów roznosi pisma lojalniejsze po handlach i restauracyach, byleby tylko nie sprzedawali ich na ulicy, pod gołem niebem i nie wpadali zbytecznie w oko stróżom bezpieczeństwa.

Taką ustawę postanowiono zreformować i zreformowano, ale Boże zmiłuj się! jaka to reforma! *K. Bartoszewicz.*

Słowianie wobec kwestyi polskiej.

Od bardzo dawna, bo od wieków w jawnym do siebie antagonizmie pozostają dwa wielkie i potężne światy: niemiecki i słowiański. Mówię niemiecki, a nie giermański, boć nie wszystkie narody do szczepu giermańskiego należące zajmują wobec Słowian wrogie stanowisko. Przeciwnie zaś wszyscy Słowianie bez wyjątku, a więc cały świat słowiański mniej lub więcej znajdował się lub znajduje w konflikcie z zaborczym i chciwym ziemi narodem niemieckim. Jak dotychczas, w tej wiekowej walce zwycięskimi są Niemcy, bo choć obecnie postępów nie czynią, to niegdyś odebrali wielki szmat ziemi Słowianom nadodrzańskim i nadłabskim. Zwycięztwo swoje zawdzięczali Niemcy wyższej cywilizacyi, której geograficznie byli bliżsi i większej solidarności, lepszej organizacyi. Dzisiaj stosunki zmieniły się wprawdzie bardzo, ale, przecie Drang nach Osten nie ustał i zawsze musimy się mieć przed wrogiem na baczności. Walka pomiędzy tymi dwoma światami jest nierówna, bo kiedy Niemcy tworzą kilkadziesiąt milionów jednolitych i spójnych, my Słowianie rozpadamy się na dużo drobnych narodów, z których żaden z osobna oprócz Rosyi nie jest w stanie skutecznie stawić wrogowi czoła, a o jednolitość i solidarność u nas trudno. Gdybybyśmy w swoim czasie mieli swego Lutra, któryby nam wszystkim dał wspólny język literacki, naukowy, — inny niezawodnie obrót wzięłyby wypadki. Ale cóż zrobić, kiedy historya dała Lutra Niemcom, a Słowianom kazała się rozwijać indywidualnie, odrębnie i wytworzyć wiele małych narodów, różniących się pomiędzy sobą językiem, historyą, literaturą, alfabetem, wyznaniem i tradycyą historyczną.

Cały nasz rozwój dziejowy dążył jedynie do zróżniczkowania w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu, a o zcałkowaniu i zespoleniu nie było i mowy. Wskutek tego stało się, że Niemcy mieli każdorazowo do czynienia z małym narodkiem słowiańskim, a każdy z narodów słowiańskich musiał walczyć z wielką i solidarną potęgą niemiecką. Jedyna Polska dawniej mogła, a Rosya dzisiaj może stawić sama czoło Niemcom.

Ten fakt właśnie jest rdzeniem kwestyi słowiańskiej, pokutującej wśród nas od dawna i nie mogącej przybrać niestety żadnych pozytywnych kształtów. Wszyscy Słowianie oprócz Rosyan i Polaków twierdzą, że nie zdołają o własnych siłach ostać się wobec Niemców, że więc muszą szukać jakiegoś oparcia zewnątrz, a tego może jedynie udzielić niezawisła politycznie i potężna militarnie Rosya. Drobne narody słowiańskie tak są wiekową nieprzyjaźnią względem Niemców przejęte, że wobec przestróg przed równą niemieckiej zaborczością Rosyi odpowiadają: Wolimy być zrusyfikowanymi aniżeli zgiermanizowanymi, bo zostaniemy przynajmniej Słowianami. Żaden z tych drobnych narodów słowiańskich, nawet czeski nie zdołał ani rozrosnąć się tak liczebnie ani wytworzyć przez wieki tak silnej kultury, aby módz Niemcom czoło stawić skutecznie.

I rzeczywiście jeżeli przyjrzymy się bliżej liczbie, oraz kulturze każdego z narodów słowiańskich z wyjątkiem Polaków i Rosyan, przyjdziemy do przekonania, że są to małe całości narodowościowe, z których żadna nie jest w stanie wytworzyć dość silnej całości politycznej, by egzystować samodzielnie. A chociaż Palacky zdaje się powiedział, że nie na ekstenzywności a na intenzywności rozwoju polega siła narodu, to jednak przyznać trzeba, iż fakty dowodzą prawie zupełnie czego innego i zmieniają to twierdzenie w piękny paradoks. Gdyby i Polacy byli tego samego zdania, co inne narody słowiańskie, zapanowałyby wyborne stosunki.

To jest jednak całkiem niemożliwe. Polacy i liczebnie i cywilizacyjnie stanowią silną indywidualność, która i dawniej Niemcom czoło stawiała i dzisiaj to samo z dobrym skutkiem czyni.

Pomimo strasznych stosunków politycznych, w jakich od stu lat przeszło znajdujemy się, nietylko się nie cofamy, ale nawet posuwamy się naprzód i rozwijamy pod wielu względami. Wobec tego nikt od nas nie może wymagać dobrowolnego zrzeczenia się naszej indywidualności narodowej na korzyść Rosyi.

Rzeczą i pożądaną i wysoce dla świata słowiańskiego korzystną byłoby istnienie wolnej i niepodległej Polski, bo wówczas byłaby to obok Rosyi druga potęga, któraby Niemców ustawicznie w szachu trzymała. Niestety jednak ultra-słowiańska w swych ideach Rosya sprzymierzyła się w swoim czasie z Niemcami dla rozdarcia Polski, a obecnie czyni wszystko co może, aby nas tylko wynarodowić. I nie ma nadziei, aby Rosya dobrowolnie politykę zmienić chciała.

Wobec tego położenie reszty Słowian jest chwiejne i dwulicowe. Nie żywiąc do Polaków nienawiści, owszem sympatyzując z nami jako z narodem tradycyjnie rycerskim i bohaterskim, życzą sobie w cichości ducha polepszenia naszego losu i politycznego odrodzenia się. Śmielsze jednostki wypowiadają to wprost, a ogół czyniłby to samo, gdyby ucisku Polaków dopuszczali się wyłącznie Niemcy, albo w spółce z innym nie rosyjskim narodem. Ponieważ atoli do najgorszych gnębicieli naszych należy i Rosya, od której reszta Słowian spodziewa się ratunku i wybawienia z niebezpieczeństwa — przeto politycy słowiańscy czują się zniewoleni tłumić oficyalnie polskie sympatye i nie ganią bratobójczego postępowania Rosyi. Wędrując po Słowiańszczyźnie można się z tem zdaniem spotkać niejednokrotnie i konsekwentnie. W ten sposób wprowadziły stosunki polityczne fatalny ferment w rozdrobniony świat słowiański, a niewiadomo czy i kiedy położenie to z ogólnem zadowoleniem się zmieni.

Taki stan rzeczy sprowadza inne jeszcze smutne następstwo. Polacy bardzo poważnie w swym bycie narodowym przez Rosyę zagrożeni uważają za swych wrogów tych wszystkich, którzy, nie mówiąc już o sympatyzowaniu z Rosyą, nie występują stanowczo przeciwko niej. Stąd uważają Polacy wszystkich Słowian bez wyjątku za swych nieprzyjaciół, widząc w nich sprzymierzeńców potężnego wroga.

Dziwić się temu tak dalece nie można. Wobec anti-polskiej polityki rosyjskiej, rozumowania narodów słowiańskich trudno zrozumieć, trudno usprawiedliwić. Nie pozostaje nam nic innego jak wykazywać konsekwentnie krzywdy przez Rosyę zadawane i czekać aż bieg wypadków położenie nasze zmieni. Obecnie jednak powinniśmy unikać wszystkiego, co by dawało podstawę do skarg innych narodów słowiańskich przeciw postępowaniu naszemu. Jaśniej mówiąc, nie powinniśmy nigdy i nigdzie łączyć się z wrogami Słowiańszczyzny bodajby nas to cokolwiek kosztować miało; nie powinniśmy ni-

---

— Pisałeś mi, że cię protegował jakiś profesor, — rzekł stary oschle. Jesteś w niezgodzie z samym sobą, znakomity filozofie...

— Nie. Profesor podał moje nazwisko, ponieważ, stosownie do żądania, miał wskazać czyjekolwiek nazwisko. Wskazał moje, bo uważał to za słuszne ze względu na moją porządną pracę i usposobienie do samodzielnych doświadczeń.

Rzeczywiście racya fizyka. Bijakowski również uważałby za słuszne, ze względu i tak dalej...

— Nikt dobrowolnie nie zaraża się parchami... To też i mnie dobrze, pókim czysty...

Stary roześmiał się. Znowu nastało milczenie aż do chwili, kiedy młody człowiek zdjął palto z kołka i począł leniwie naciągać je na ramiona.

— Czyż ty naprawdę? — zapytał pan Dominik.

— Tak, ojcze.

— Oby cię Bóg nie skarał ciężko, moje dziecko!

— Pierwszą ratę mam nadzieję przysłać w maju. W tym notesie wyliczyłem należność każdego za cztery lata. Niechże ojciec raczy sumiennie...

— Precz, durniu! — krzyknął grubiańsko pan Dominik w przystępie wściekłego gniewu. Ręce mu się trzęsły, w oczach migotał zły ogień.

Doktor Piotr blady jak papier zbliżył się do niego ze łzami w oczach i schylił mu się do nóg. Starzec odepchnął go, usunął się w kąt pokoju i odwrócił plecami. Słyszał, jak drzwi zcicha skrzypnęły i zawarły się za wychodzącym, słyszał suchy szczęk klamki, ale nie odwrócił głowy. Zapadał powoli w stan gnuśnego spokoju, obojętności tak zupełnej, że graniczyła prawie z zadowoleniem.

— Dobrze, że powiedziałem „durniu", — pomyślał, — to mu pójdzie w pięty...

Po upływie kilkunastu minut wyjrzał przez okno. Na podwórzu nie było nikogo. Pod zachód słońca widać było przedmioty wyraźnie na dalekiej, równej, biało-niebieskiej płaszczyźnie. Na każdej szybie rysowały się i rosły w oczach, idąc z dołu do góry, fantastyczne gałązki mrozu. Starzec przypatrywał im się z zajęciem i myślał o czemś dawnem, ogromnie dawnem. Doznawał przez chwilę uczuć małego chłopca, który w pięknym dworze siedzi obok matki, pięknej, dobrej, kochanej matki i patrzy na gałązeczki przymrozka... Nudzi mu się, płakałby i kaprysił, gdyby nie to, że pełzające odnóżki, pręty i zębate liście tak go zaciekawiają, tak bawią...

Z zadumy obudził go dopiero daleki świst lokomotywy. Ten dźwięk sprawił mu taki ból, jak uderzenie młotkiem w czaszkę. Wziął czapkę i wyszedł z pokoju.

Ku stacyi kolejowej zwolna zbliżał się pociąg, kopiąc się i nurzając w zaspach, jakby je żelaznym kadłubem roztrącał i przewiercał. Pan Dominik począł iść ku dworcowi wielkimi krokami. Zmrok padał żywo i, w miarę zwiększania się ciemności, coraz wyraźniej błyskały latarnie na linii drogi żelaznej, niby duchy dobroczynne, dające znać o wielkiem niebezpieczeństwie. Gdy pan Cedryna był na połowie drogi, ujrzał zdaleka sylwetkę człowieka, idącego od stacyi. Odetchnął głęboko, w nadziei, że to dr. Piotr wraca. Wkrótce zrównał się z tym człowiekiem: był to strycharz z cegielni, młody i wesoły parobczak.

— Ty gdzieś chodził? - zapytał go rządca ponuro.

— Na stacyę...

— Po co?

— Zaniosłem zawiniątka za młodym panem.

— Za jakim młodym panem?

— A — dy za panem Piotrem.

— Pojechał? — zapytał starzec obojętnie.

— Pojechał, proszę łaski pana.

— Widziałeś?

— A no i nie widziałbym? Jeszczem mu tobół zaniósł do maszyny.

— Mówił co do ciebie?

— E, — mówić to ta nie mówił dużo.

— Wracaj do domu!

gdy iść ręka w rękę z Niemcami przeciwko naszym braciom i krewnym. W cesarstwie niemieckiem i w Austryi odgrywają Polacy rolę polityczną i tu tylko mogą zamanifestować swoje przekonania. To co poprzednio powiedziałem nie odnosi się do Polaków pod zaborem pruskim, bo nie licząc garstki Serbów łużyckich, nie ma tam innych Słowian; w Niemczech więc Polacy chyba sobie samym tylko szkodzić mogą.

Ale Polacy galicyjscy mają sposobność prowadzić politykę wyłącznie polską albo też słowiańską. Dotychczas jednak idą ręka w rękę z Niemcami, którzy rozdawnictwo wszelkich posad i innych dóbr ziemskich dzierżą i jako przynętę wywieszają. A nie tylko to wszystko, co dziś mają z łaski, ale więcej jeszcze mogliby zyskać galicyjscy posłowie, gdyby się chcieli przyczynić do wytworzenia stronnictwa słowiańskiego, które stanowczo byłoby w większości i mogłoby rządzić w monarchii austryackiej. Pozornie tego uczynić nie chcą nasi posłowie z powodu czeskiego moskalofilstwa, ale tylko pozornie; de facto boją się czeskiego wolnomyślności i radykalizmu, nie idącego w parze z ich wstecznictwem i zacofaniem. Gdyby posłowie galicyjscy chcieli połączyć się z Czechami w jedno stronnictwo musieliby koniecznie zczerwienieć, a tego nie chcą nawet za cenę poprawy stosunków galicyjskich uczynić.

Tak więc młodoczeskie moskalofilstwo jest wygodnym płaszczykiem stańczykowskiej polityki. To zaś, że Polacy galicyjscy nie tworzą stronnictwa słowiańskiego pozwala im czynić zarzut łączenia się z wrogami Słowiańszczyzny. Zarzut ten rozciąga się zaraz na całą Polskę, co nie trudno zrobić wobec faktu, że Polacy z pod zaboru rosyjskiego nie mogą przeciw temu ani słowem, ani czynem zaprotestować, poczem na tej podstawie formuje się twierdzenie, że Polacy nie zasługują wcale na to, aby dla nich wyrzekać się potężnej opieki rosyjskiej. Jedni zatem czynią wymówki drugim, a scysye te wystarczają w zupełności, aby między Polakami a resztą Słowian powstawała przepaść, która niestety powiększa się z dniem każdym na naszą szkodę. Do zaostrzenia antagonizmu przyczyniły się ostatnie wypadki czeskie i małoduszne stanowisko, jakie wobec nich zajęło wiedeńskie Koło polskie.

Widzimy, że poprawa stosunku między Polakami a resztą Słowian zależy prawie wyłącznie od Polaków galicyjskich, którzy atoli niestety stanowiska swego nie rozumieją i wbrew swym własnym interesom postępują. Postać rzeczy nie zmieni się dopóty, dopóki nie zmieni się obecny skład naszego Koła polskiego w Wiedniu. A stanie się to dopiero na mocy zdemokratyzowania galicyjskiego społeczeństwa. Wtedy wypłyną na widownię nowe mieszczańsko-ludowe elementy; będą to żywioły wolnomyślniejsze, bardziej do postępu skłonne, chętniejsze do podania ręki radykalnym Czechom, z którymi utworzą silne stronnictwo słowiańskie, od tego zaś jedynie i wyłącznie możemy się spodziewać poprawy stosunków między Polakami a resztą Słowian. Proces ten odbywa się powoli ale stale i konsekwentnie: z jednej strony miasta nasze w Galicyi, z drugiej strony lud rozwija się i dojrzewa z dniem każdym coraz bardziej i widoczniej.

Zewnętrznym wyrazem i równocześnie dowodem tego rozwoju jest organizacya i uświadamianie się. W ostatnich czasach powstało polityczne „Stronnictwo chłopskie“ i „Towarzystwo demokratyczne“: pierwsze jednoczy świadomych siebie włościan, drugie światłych i energicznych mieszczan. W rękach demokracyi galicyjskiej spoczywa poprawa nietylko położenia Galicyi ale i stosunku pomiędzy Polakami wogóle, a Słowianami. Obecnie więc musimy czekać na dokonanie się przemiany, która bodaj niebawem nastąpi, bo polityka wiedeńskiego Koła polskiego staje się z dniem każdym niebezpieczniejszą, jak tego ostatnie wypadki parlamentarne dowodzą. Zanim zaś dojdzie do zmiany powinniśmy sprawę pilnie badać, powody nieporozumienia usunąć i właściwe nam wśród Słowian stanowisko bodaj na razie teoretycznie zająć. Szczególniej zobowiązaną jest do tego prasa nasza to znaczy jej część uczciwsza, każcie panującej nie zaprzedana. Pod jej adresem tych słów parę wysłano.

Wojciech Szukiewicz.

Chłopak oddalił się szybko brzegiem drogi. Potem przeskoczył przez rów i poszedł ku górze naprzełaj przez pole.

Pan Dominik patrzył za nim ciągle, wtedy nawet, kiedy już skrył się w ciężkim cieniu góry. Twarz starca stuliła się i zmalała, oczy zakryły się dolnemi powiekami, nos się wygiął i wyciągnął ku brodzie. Stał na miejscu, wyciągając co chwila rękę, jakby miał zamiar przywołać strycharza. Następnie poszedł wolno, nie mając żadnego zamiaru, ani pojęcia o kierunku w jakim postępuje. Schylał się ku ziemi i przy świetle ostatniego brzasku zorzy wieczornej rozpoznawał głębokie ślady stóp syna, wyciśnięte w miękkim śniegu, które teraz mróz miłosierny utrwalał dla niego na tej okrutnej drodze. Nad każdym z tych śladów zatrzymywał się, macał go laską... Nad każdym — z piersi jego wydzierał się cichy, nieprzerwany jęk, podobny do żałosnego skomlenia wiatru nad mogiłami cmentarza...

KONIEC.

Przegląd prasy słowiańskiej:

Pismo chorwackie „Crvena Hrvatska“ tak przedstawia obecną sytuacyę polityczną w Chorwacyi:

„Usiłowania podjęte w celu zjednoczenia dwóch stronnictw chorwackich, które trzymają się wiernie programu narodowego, spełzły na niczem, można też już zajrzeć po za kulisy tej najnowszej fazy w życiu politycznem Chorwatów.

„Stanęło na tem, gdzieśmy właśnie przed rokiem byli, kiedy biskup Strossmaeyer podał w Krapińskich Cieplicach dr. Starczewiczowi rękę do zgody.

„Tylko to jedno osiągnęliśmy w ciągu bieżącego roku, że oba stronnictwa przyjęły jeden program polityczny, zestawiony przez stronnictwo prawa, i że w ciągu ostatniego nie było pomiędzy „Obzorem“ a „Hrwatską“ gorszących polemik dziennikarskich, ani inwektyw osobistych.

„Niestety, porozumieniem zupełnem i zjednoczeniem obydwóch obozów to nie jest, ponieważ „Obzor“, analizując ten program wspólny, nabiera przeświadczenia, iż, stojąc na gruncie słowiańskim, tryalizm austro-węgiersko-chorwacki byłby dogodnym dla Chorwatów, ale że to wydałby Polaków i Czechów na pastwę Niemcom. Gdyby bowiem uznano chorwackie prawo państwowe, zasiadaliby posłowie chorwaccy, serbscy i słowiańscy w sejmie zagrzebskim, z parlamentu wiedeńskiego ubyłoby więc sporo posłów słowiańskich. Tym sposobem oddalibyśmy Polaków i Czechów w ręce nienasyconych Niemców.

„Jest faktem, że rozwiały się piękne nadzieje o zgodnej akcyi wszystkich żywiołów opozycyjnych w Chorwacyi i znowu projekt zgody na dalszy czas odroczono.

* * *

„O prześladowaniach socyalistów bułgarskich ze strony rządu bułgarskiego rozpisuje się bułgarski dziennik opozycyjny „Swobodne Słowo“ i notuje fakt następujący:

„Dnia 1 kwietnia r. b. uwięziła policya redaktora pisma robotniczego „Drugar“ p. Kołowlewa. Policya nie pozwoliła redaktorowi ubrać się całkowicie. Uwięzionego transportowano tego samego dnia pieszo przy pomocy żandarma. Kazano mu iść przez Bałkany do miasta rodzinnego Łomu nad Dunajem, gdzie go internowano. Nieszczęśliwy zaszedł tam w połowie żywy i umarł dnia 16 kwietnia na zapalenie mózgu. Choroba bezwątpienia powstała ztąd, że w drodze, skutkiem panującego w górach zimna zaziębił się.

„Podobnie powiodło się drugiemu redaktorowi innego radykalnego pisma Genczowowi, którego ze Szumenu transportowano do Somliewa. I on rozchorował się, a odstawiony do lazaretu tyrnowskiego umarł tam 20 maja r. b. na tyfus. Inny socyalista-literat Serwoliew został przez policyę tak obitym, że się znajduje w stanie beznadziejnym w Kystendzie.

„W dwóch miesiącach ostatnich uwięziono sześciu redaktorów pisma socyalistycznego „Drugar“.

* * *

W słowackich „Narodnich Nowinach“ p. t. „Narodowościowa kwestya w madziarskiej akademii umiejętności“, co następuje:

„Na dorocznem zebraniu madziarskiej akademii umiejętności, które się odbyło przed kilku dniami, zwrócił powszechną uwagę na siebie odczytem, wyłuszczającym zapatrywania hr. Szechenyiego na kwestyę narodowościową, uczony madziarski, a renegat słowacki Michał Zsilinszky (czyt. Żylinski).

„Wiadomość o tym odczycie dostała się do wiadomości szerszych kół społeczeństwa madziarskiego w sam czas, gdy sądzono w Klużach Rumunów. Spodziewano się ogólnie, że sąd patryoty madziarskiego, którym był Szechenyi oddziała otrzeźwiająco na szowinistów madziarskich, ale nadzieje te zawiodły.

„Hr. Stefana Szechenyiego nazwał wielki jego przeciwnik polityczny Ludwik Kossut największym Madziarem. Szechenyi był nieprzyjacielem szowinizmu. Ten szowinizm objawiał się w takich zdaniach jak „„Słowak nie jest człowiekiem““, „„Niemiec jest psem““, „„Rumun i Serb to woły““, z którymi po ludzku nie potrzeba się obchodzić.

„Szechenyi był pierwszym politykiem madziarskim, który kwestyę narodowościową pojmował ze stanowiska europejskiego i można stanowczo orzec, że gdyby kwestyę tę tak samo pojmowali Kossut i jego zwolennicy, nie byłoby przyszło do walki pomiędzy Madziarami a innemi narodowościami węgierskiemi w r. 1848.

„Szechenyi był przeciwnikiem i uważał za wielki błąd, iż Madziarzy hołdowali idei zmadziaryzowania całych Węgier. Tej madziaryzacyi obawiał się, przewidując jej złe skutki. Inne narody węgierskie mogą znaleźć poza granicami państwa przyjaciół, ale Madziar, tak mówił, gdzie ma szukać rodziny? Już w r. 1835 wystąpił przeciw madziaryzacyi. W mowie swej wygłoszonej w tymże czasie powiedział, iż nie zna głupszej metody, jak ta, gdy chcemy gwałtem nasze przyrodzenie przenieść na innych. Kto wynarodawia innych, ten zapomina o prawach swej narodowości i gwałci prawa ludzkości.

„Takie były zasady i poglądy Szecheniego, które rzszerzał aż do roku 1840, w którym to czasie Kossut począł wydawać swoje czasopismo.

* * *

Tryesteńskie „Il Pensiero Slavo“, organ południowych Słowian, polemizuje z dziennikiem rosyjskim „Grażdaninem“ i jego redaktorem ks. Meszczerskim. „Il Pens. Slavo“ pisze:

„Dwa istnieją przesądy na zachodzie, odnoszące się do dziennika rosyjskiego „Grażdanina“, który wychodzi w Petersburgu pod redakcyą ks. Meszczerskiego: pierwszy, że pismo to jest organem nadwornym, drugi, że książę Meszczerski jest przedstawicielem idei iście rosyjskiej.

„Nic chyba mniej uzasadnionego i nic błędniejszego.

„Nikomu w Rosyi się nie śni, jakoby „Grażdanin“ wyrażał przekonania panujące u dworu Aleksandra III. Owszem, organ ten otrzymał

już dwukrotnie napomnienia od rządu, skoro tylko trzecie przyjdzie, wydawnictwo jego będzie zawieszone.

„Pismo to jest w równym stopniu, co „Nowosti“ pod wpływem żydowskim. Gdyby nie subwencye żydowskie, musiałby „Graždanin“ zaniechać wydawnictwa, gdyż liczba abonentów nie dochodzi tysiąca. Dzienniki żydowskie, jak „Neue Fr. Presse“ i inne, starają się Graždanina przedstawić jako pismo stojące w bliskich z dworem stosunkach, ażeby artykułom jego nadać jakąś wartość. Tym to pismom żydowskim zawdzięcza „Graždanin“ reputacyę dziennika, którego zdanie w rosyjskich kołach decydujących bywa poważane.“

K.

LITERATURA I SZTUKA.

DO PRESĄDU.

Objąłeś całą ludzkość w pół
Drapieżną szponą,
I roztoczyłeś błędnych kół
Mylące szlaki i nad światła groby
Rzuciłeś, jako wielki płaszcz żałoby,
Twych mroków noc niezmierzoną.

Zabijasz dzieci, matek sny,
Ojców nadzieje;
W truciznę zmieniasz karm i w łzy,
I znać tam twoje żelazne uściski.
Gdzie bez nadziei maleństwo z kołyski
W konwulsyi dreszczach szaleje.

Druzgoczesz mężów, co jak lwy
Do walk stanęli,
By twe trujące złamać kły —
Ty na nich tłumów ślesz ciemnych pogardę
I gnieść nieszczęścia gromem karki twarde,
Ażeby czoła ugięli.

Ciemnoty płaszczem gasisz skry
Ognia wolności,
Co w serc tajemnych głębiach drży.
I przerażona tłuszcza twa woła:
Ciemno ma być na świecie dokoła,
Za mało jeszcze ciemności!

Więc owych wielkich pięść twa łży,
Co po nad zgrają,
Jako latarnie morskie nad mgły
Świecą i drogę wskazują ludzkości
Z twych pęt haniebnych ku jasnej przyszłości,
Jak słupy ognia pałają!

Na nich spiętrzone fale twe
Groźne nastają —
Tak morską tonią przypływ rwie —
By gasić światło masz twe duchy czarne
I szubienice i stosy ofiarne.
Świecą! — więc niech.... umierają!

St.

POLKA
w ciągu bieżącego stulecia.

VI.

Eliza Orzeszkowa i Marya Konopnicka.

W ostatniej epoce naszego umysłowego życia dwie kobiety zajęły pierwszorzędne, naczelne prawie w literaturze naszej stanowisko: powieściopisarka Orzeszkowa i poetka Konopnicka. Są one nietylko w kobiecem, lecz w ogólnem piśmiennictwie naszem wyobrazicielkami prądów postępowych, które w poprzednim charakteryzowałam szkicu. Ciekawym jest fakt, że obie te znakomite autorki odznaczają się cechami, które według powszechnego mniemania zwykłemi zaletami męzkich pisarzy bywają, wady ich zaś z drugiej strony są tego rodzaju, że znowu wedle panującej opinii najmniej w pismach kobiecych obawiać ich się należało. Jedna i druga ustępują współrzędnym talentom męzkim pod względem artystycznej formy, przewyższają je natomiast siłą, polotem i głębokością myśli (Sienkiewicza Orzeszkowa, Asnyka Konopnicka).

Że wszystkich współczesnych pisarzy najpłodniejszą bezwarunkowo jest Orzeszkowa, to też literacką jej działalność trudno w kilku scharakteryzować słowach. — W ciągu dwudziestopięcioletniego okresu pracy zbogaciła piśmiennictwo całą biblioteką powieści o niezrównanej wartości, obejmującą wiele dzieł cennych, a nawet znakomitych, a nie zawierającą żadnej miernoty. W pismach swych, zawsze szlachetną i na wskroś postępową przejętych tendencyą, dotyka wszystkich kwestyj ogół dotyczących, maluje z wielką prawdą i bystrością obserwacyi krajowe stosunki, wykazuje wady społeczeństwu naszemu właściwe i wszystkie walki, jakie ono na drodze postępu staczać musi. Naturalnie obraz narodowego życia byłby o wiele barwniejszym i pełniejszym, gdyby do rozwinięcia skrzydeł nie stały Orzeszkowej na przeszkodzie te same więzy, które wszystkich jej zakordonowych braci po piórze krępują. I tu znów pozwolę sobie na maleńką nawiasową uwagę: Podczas gdy najwybitniejszy męzki talent poświęca się wyłącznie prawie malowaniu uczuć indywidualnych, najznakomitsze pióro niewieście poważnie ogólnym uczuciom, dążeniom i ideałom służy. Jest to znowu jedna z tych niespodzianek, których niemało spotkać mogą ludzie, powtarzający chętnie powierzchowne sądy i kurs w kraju mające komunały. Wracając do dzieł Orzeszkowej, — wielką ich zaletę stanowi to, iż zawierają one niezmiernie bogatą galeryę typów kobiecych. Trafną niegdyś uwagę uczyniła Żmichowska: „Kobiety nie znają dobrze mężczyzn, ale za to lepiej znają człowieka w mężczyźnie. Przeciwnie mężczyźni znają niekiedy doskonale kobietę jako kobietę — ale nie znają człowieka w kobiecie.“ Ztąd wynika, że wszystkie wizerunki niewieście jakimi mężczyźni wzbogacili literaturę, malują nam kobietę jedynie z jednej strony, przedstawiają ją wyłącznie prawie w stosunku do mężczyzny. Trudno nie przyznać, że malowidło takie zupełnym, dokładnym obrazem rzeczywistości być nie może, że daje o niej bardzo słabe i ułomne pojęcie. Typy kobiece Orzeszkowej przez to samo właśnie zyskują na wartości, że odmiany ludzkiego gatunku przedstawiają wszechstronnie, w całej rozmaitości cech indywidualnych, we wszystkich jej z zewnętrznym światem stosunkach, z całą wiązanką trosk, bólów, nadziei, błędów, rozczarowań, pociech i goryczy, które jej życie wypełniają. — Widzimy ją tam i zepsutą zbytkiem i lenistwem, zgorzkniałą w nędzy i przygnębioną w pracy, widzimy ją w rodzinie, towarzystwie, w salonie — widzimy też samotną i opuszczoną.

W kilku powieściach swoich poruszyła i przykładami objaśniła tematy, które wśród rozpraw nad kwestyą kobiecą rozbierane bywały. W „Pamiętniku Wacławy“ dała obraz smutny tegoczesnego wychowania i przedstawiła jego braki, w „Marcie odmalowała los kobiety, zmuszonej pracować na życie, nie mającej żadnych kwalifikacyj specyalnych, ani dostępu do żadnych korzystnych zawodów, — w „Panu Grabie“ nieszczęśliwe położenie mężatki, związanej z potwornym człowiekiem, od którego władzy żadna z ziemskich zwierzchności uwolnić jej nie może. — Ostatnia jej powieść „Dwa bieguny“ — maluje dodatni typ kobiety obywatelki, oddanej pracy dla ogólnego dobra, żyjącej dla idei i na jej ołtarzu czyniącej ofiarę z osobistych uczuć Prócz powieści pisała jeszcze artykuły rozumo

4)

Nowocześni pogromcy narodu polskiego
i jego przeszłości w literaturze historycznej.

(Ciąg dalszy.)

Kalinka też, rządząc się apriorystyczną kapłańską tezą, widział w swem społeczeństwie „grzech“ nawet w chwili odradzania się i reformy, — a wady i ułomności ogółu, których nie braknie nigdy i nigdzie, zaćmiewały przed nim logiczny i konsekwentny rozwój bytu narodowego, zawisły od okoliczności, w których był postawiony. Tak w „Ostatnich latach panowania Stanisława Augusta“, jak też i w „Sejmie czteroletnim“ subjektywizm kapłana przemaga w nim ponad objektywizmem i zabarwia przedmiot obrany kolorytem, nadanym przez niego samego. Wbrew sądowi współczesnych i potomnych chciał uczynić Stanisława Augusta — człowieka bez woli i charakteru — najznakomitszą i najlepszą osobą swojego czasu, obarczył zarzutami stronnictwo patryotyczne, że nie chciało w imię rozsądku poświęcić dla rzekomego dobra kraju swej nieprzyjaźni ku Rosyi, jak gdyby nieprzyjaźń owa nie była rzeczywistem poczuciem całego ogółu narodowego, wynikłem w skutek doznanych gwałtów; jak gdyby pamięć Repnina, walk konfederacyi Barskiej i pierwszego rozbioru, dokonanego pod przymusem rosyjskim nie tkwiła żywo w umysłach społeczeństwa, czyniąc niemożliwą wszelką myśl o jakiejkolwiek solidarności z Rosyą. Przymierze z Prusami poczytał za występek narodowy, nie dostrzegając, iż wydawać się ono musiało w owym czasie jedyną deską zbawienia i ocalenia, — tak samo zupełnie jak dzisiaj jeszcze, pomimo wszelkich antecedensów dziejowych, po upływie tylu lat od gorzkiego zawodu, doznanego ze strony Prus, rzucenie się Królestwa i Litwy przy zdarzonej sposobności pod opiekę i na stronę tego mocarstwa może się stać jeszcze dla narodu polskiego najzupełniej prawdopodobnym wynikiem wobec dzisiejszego systemu rosyjskiego który czyni wszystko, co tylko zdoła uczynić dla zniechęcenia ku sobie narodowości polskiej, usiłując ją nietylko zniszczyć, lecz i odebrać zarazem wszelkie dobrodziejstwa cywilizacyi zachodniej, jakie przynajmniej w związku z Prusami mogłyby być bezpośrednią tej narodowości korzyścią. Ztąd poszła u Kalinki dążność przesadzenia w mocnem świetle ujemnej strony charakteru i działań przywódzców i stronnictwa patryotycznego, jak gdyby bez tych ujemnych stron mogło się kiedy obejść jakiekolwiekbądź stronnictwo na świecie, jak gdyby ludzie, w chwilach przewodniczenia sprawie skupiającej w sobie interes narodu, mogli nie być ludźmi i nie posiadać nieodłącznych od ludzkiej natury wad i błędów. Na odwrót jednocześnie z tą dążnością koloryzowania negatywnych objawów działalności patryotów ujawniła się w Kalince intenccya łagodzenia postępków stronnictwa przeciwnego — głośnego w dziejach smutną sławą — Targowicy. Te i tym podobne zapędy subjektywizmu, natchnionego hasłem kapłaństwa w wytykaniu wad i błędów, doprowadziły Kalinkę do zupełnego zapoznania największej i najdonioślejszej cechy istnienia narodowego, a mianowicie wewnętrznego i głęboko w warstwach narodu nurtującego prądu, który jest zwykle bezpośrednim wynikiem jego sytuacyi polityczne, i stanowi ogólno-narodowe przeświadczenie. Historykowi kapłanowi bolejącemu nad grzechami swego społeczeństwa i rozbierającemu daną epokę na podstawie dokumentów archiwalnych, wydawało się w ostateczności, że w bolesnej chwili ogromnego przesilenia narodowego, działały

wane, dotyczące spraw kobiecych*) i rozprawkę o kobiecie polskiej do zbiorowej pracy angielskiej, „o Kobietach w Europie“. W tej ostatniej, zawierającej krótki rys historyczny, rys zmian, jakie w stanowisku społecznem naszej niewiasty zachodziły, zamieszcza taką uwagę: „Rzec można, że w kobiecie polskiej w całej swej sile przetrwał aż dotąd, wyrobiony w niej przez wieki instynkt obywatelstwa, instynkt czy popęd, który nie pozwala jej zamykać się ściśle w sferze gałganków lub kuchni, lecz w szczególny sposób rozszerza horyzont widzenia jej i podnosi poziom jej uczucia. Ta to struna wiecznie żyjąca, ta struna zawsze odwołująca kobietę od ostatecznych granic zepsucia lub głupoty, przychodzi z pomocą tu, gdzie wielu innych pomocy nie dostaje, rozszerza widnokręgi z wielu stron zamykane, wzmaga siły wielu czynnikami osłabione. Dzięki jej, kobieta leniwa gotową jest zawsze wstać i działać, kobieta próżna i płocha przestać tańczyć i rzucić okiem poza ściany balowej sali, kobieta ograniczona i ciemna — zamyślić się i zwrócić wzrok kędyś wyżej ponad szczyt kuchennego komina. Że zaś w interesach kraju i planach jego przyszłości praca legalna, powolna, bardzo trudna, praca na polu tak umysłowem jak ekonomicznem zastąpiła dawne marzenia i porywy, kobiety więc na pola te dla interesów kraju wchodzić muszą i powinny!“

W epoce, o której mowa niektórzy przeciwnicy równouprawnienia, kobietom skarżącym się na ograniczenia prawne, którym podlegają, dawali za przykład również niegdyś wyśmiewane i karcone Entuzyastki, które nie o prawach, lecz o obowiązkach kobiety mówiły. Ci panowie nie uwzględniali ani zmiany stosunków, ani też tej ważnej prawdy, że każdemu obowiązkowi odpowiada pewne prawo będące warunkiem jego dopełnienia, że rozszerzać zakres obowiązków bez rozszerzania zakresu praw nie można, że gdy się spełniło to, co było w granicach możliwości, nie podobna spełnić więcej nie przekraczając tych granic, że wreszcie położenie człowieka mającego same obowiązki, a nie mającego praw, a raczej mającego nadmiar pierwszych, a niedostatek drugich jest niewolą. Wreszcie kwestya nie zawsze stawia się jasno; co jest prawem, co obowiązkiem? Do jakiej kategoryi zaliczyć wykształcenie i pracę; — ten który nauki i pracy pragnie — otrzymanie jej nazywa rozszerzaniem swych prerogatyw, ależ i społeczeństwo wymaga od jednostek nauki i pracy — jest poniekąd powinnością żądaniu temu zadosyć uczynić. — Polki najgłówniej upominały się o te dwa przywileje: o możność pracy i sposobność przygotowania się do niej. — Nie znaczy to bynajmniej, aby wogóle zupełnie ze swego położenia zadowolnione być miały; gdyby żyły w narodzie wolnym, w narodzie, który sam sobie ustawy nadaje, zapewne zapragnęłyby więcej, — ale kobiety nasze teraz jak przed wiekami są przydewszystkiem praktyczne, umieją się liczyć z warunkami: — wobec tych, w których żyły — te dwie właśnie reformy były najważniejsze i jedynie możliwe. — O tych dwóch też pisała głównie Orzeszkowa w swych rozprawach o kwestyi kobiecej. — Nawoływała ona społeczeństwo, aby otwierało wyższe zakłady naukowe dla kobiet lub postarało się dla nich o wstęp do już istniejących. Zbierała skrzętnie wiadomości o studentkach Polkach kształcących się za granicą, przedstawiała ciężkie warunki, w których żyć i pracować muszą, zwracała uwagę na tysiączne niebezpieczeństwa, na które, nędza, osamotnienie i obce otoczenie naraża i podawała sposób, aby je zatrzymać w kraju nie przeszkadzając kształcić się w pożądanym kierunku.

Zwalczała przesądy i uprzedzenia społeczeństwa, uspokajała obawy o zle następstwa tego garnięcia się kobie do naukowych zawodów, twierdząc iż „Kraj nasz nie jest znowu tak dalece zalany inteligencyą i nauką, aby ta grupa kobiet nie mogła się pomieścić na jego powierzchni bez spychania mężczyzn do antypodów.“ Nie brakło naturalnie między przeciwnikami jej dążeń — takich, którzy wyrażali dość naiwne obawy, aby przy nadmiarze doktorek medycyny i filozofii, nie zabrakło żon, matek i — gospodyń. — Co do żon i matek naturalnie strachy płonne, zawsze będzie więcej kandydatek do małżeństwa niż do uniwersytetu, a nie dowiedziono także, aby nauka i wykształcenie miały pozbawiać kobietę właściwych do spełnienia rodzinnych obowiązków kwalifikacyj. — Doświadczenie i rozumowanie zarówno do wprost przeciwnej prawdy doprowadzają. Co do gospodyń — to Orzeszkowa słusznie bardzo powiada, że to samo społeczeństwo, które broni się przeciw najazdowi doktorek, daje dowody faktyczne, iż mu o gospodynie zupełnie nie chodzi, gdyż gospodarstwo pozostawia zupełnie na łasce tradycyj przestarzałych i intuicyi osobistej. Minęły te czasy kiedy syn obywatelski mógł wyszedłszy z czwartej klasy zabrać się do obsiewania ojczystego zagonu; mężczyźni mają dziś szkoły agronomiczne i wiedzą, że ze znajomością gospodarstwa nikt się nie rodzi, minęły i te — gdy gosposie, idąc za tradycyjnym wzorem prababek, mogły uwiązawszy klucz u pasa krzątać się po kuchni, piwnicy, kurnikach i śpiżarni, soląc, wędząc, smażąc i przyprawiając wszystko to co ich prababki soliły, wędziły i smażyły. Zmieniły się warunki ekonomiczne i niejedna z tych czynności, która była niegdyś rozumną oszczędnością, stała się dziś bezcelowem marnotrawstwem pracy, czasu i pieniędzy. Żaden dom dzisiaj nie jest wyłącznym konsumentem własnych produktów, ani producentem własnych środków żywności; wszelka praca do ogólnych warunków produkcyi stosować się musi i dla tego żadna gospodyni dziś już z intuicyi gospodarować nie może. Szkołę gospodarską uważa Orzeszkowa bardzo słusznie za najpilniejszą i najpierwotniejszą potrzebę społeczną. (Szkoły takie już dziś istnieją; niestety, nie weszły jeszcze w modę. Może, gdyby taka moda nastąpiła, ciężkie czasy cokolwiek lżejszymi by się stały.) Obojętność społeczeństwa na sprawę przypisuje niechęci ku udzielaniu nauki kobietom i tkwiącemu w masach przekonaniu, że dla nich wykształcenie tylko ku ozdobie służyć powinno.

Widzimy ztąd, że życzenia dzisiejszych pokoleń są to dawne życzenia Entuzyastek sprowadzone na punkt praktyczny. Aby się kształcić chcą mieć otwarte drogi ku temu; aby pracować dla społeczeństwa — chcą przedewszystkiem przestać mu być ciężarem, by moralnie stanąć wyżej — pragną stworzyć sobie pracą materyalną niezależność. Przez to, że o własnych interesach i potrzebach myślą — potrzebom i interesom społeczeństwa obcemi się nie stały i gdyby ktoś w późniejszych czasach chciał sobie stworzyć obraz obecnego stanu jego dążeń, uczuć i cierpień, w utworach kobiet znalazłby do tego bardzo obfite wskazówki.

Jak w powieściach Orzeszkowej tak w poezyach Konopnickiej widzimy odzwierciedlenie wszystkich tych prądów, które duchem narodu wstrząsają. W dźwiękach jej lutni brzmi echo wszystkich cierpień jego i zachwytów, dążeń, marzeń i jęków — naturalnie również o tyle — o ile ich nie tłumi cenzura. Prześliczny wiersz, napisany w stuletnią rocznicę Jana Kochanowskiego świadczy, jak pełnym i donośnym tonem pieśń jej rozbrzmiewa, gdy poetka swobodną piersią odetchnąć może. — Ta silna spójnia, która ducha autorek naszych z duchem narodu łączy, to żywe odczuwanie wszystkich jego cierpień i pragnień i niezmienne podporządkowywanie indywidualnych potrzeb ogólnym, daje co najmniej prawo przemawiania niekiedy i we własnej sprawie i czyni, że u nas każdy taki głos kobiecy — w sprawach kobiet doty-

*) Drukowane były w „Świcie“, piśmie postępowem dla kobiet, redagowanem p. Maryę Konopnicką. „Świt“ wychodził zaledwie parę lat, okazało się, że nie miał racyi bytu. Kobiety postępowe pisywały do wszystkich pism i czytywały wszystkie, kobiety konserwatywnych pojęć pozostały zawsze wierne do dziś wychodzącemu „Bluszczowi“ i „Kronice rodzinnej“.

---

tylko stronnictwa poruszane przez tych lub owych przywódzców, ogół zaś narodu zachowywał się martwo, nie okazując należytego przejęcia się sprawą ogólną. Wynikał z tego racyonalny wniosek, że stronnictwo patryotyczne było takowem tylko w mniemaniu późniejszych historyków, którzy mu nadali to miano, — tak samo, jak i zdrada zespolona z nazwą Targowicy. Atoli w tej właśnie konsekwencyi subjektywizmu dziejopisarskiego okazał się w całej swej sile błąd zasadniczy przeczący stanowczo przeświadczeniu ogólno-narodowemu, stanowiącemu głos sumienia społecznego. Nie historycy to bowiem pierwsi podnieśli ten głos, ani też autorowie dzieła: „O konstytucyi 3 maja“, które przez długi czas szerokiej publiczności kraju było nieznane, lecz wprost jednomyślna opinia publiczna, świadcząca o prawdziwych uczuciach i dążnościach całego ogółu polskiego. W moc tych uczuć, przekonań i wierzeń, będących wynikiem całej historycznej przeszłości, walka z Rosyą (jakkolwiek mogła być niedołężnie i nieumiejętnie prowadzoną) poczytywaną była ogólnie za rzeczywistą sprawę bytu narodowego, opozycya zaś Targowiczan uznaną powszechnie za zdradę interesów narodu. Wpierw zanim się zjawiła szkoła Lelewela i jego następców wiedziano o tem powszechnie w narodzie, każdy z nas bowiem w ustnej tradycyi od ojców powziął wiadomość, że ojców naszych natchnęli temiż przekonaniami nasi dziadowie lub paadziadowie, będący czynnymi lub niemymi świadkami nieszczęść spadłych w dobie ostatnich dwóch rozbiorów kraju. Wspomnienia zaś osobiste w rodzinach naszych pozostałe są pod tym względem skarbem nieoszacowanym i zadają kłam najzupełniejszy wszelkim twierdzeniom nowoczesnych historyków, pragnących po swojemu zapatrywać się na rzeczy. Nie zdołają też te twierdzenia odwrócić uczuć dzisiejszego społeczeństwa od sprawy rozstrzygniętej zbiorowem działaniem mocarstw w końcu zeszłego stulecia, ponieważ sprawa ta żyć będzie nieustannie w sercach pokoleń w oświetleniu przejętem w spuściźnie po przodkach — przedmiotem zaś historyków, nie przejętych subjektywizmem ani też kapłańskiemi misyami, stanie się odtąd jedynie badanie wskutek jakich mianowicie przyczyn głos sumienia publicznego w owych czasach przyjął taki nie zaś inny kierunek.

Z powyższego powziąć można jedyny racyonalny wniosek, że wybitniejsi nowocześni historycy polscy i publicyści historyczni (Kalinka, Bobrzyński) przejęci bądź uczuciami misyi kapłańskiej, bądź też dążnościami doktryneryi, zapoznali całkowicie istotę wewnętrznego narodowego przeświadczenia, dowodzącą niezbicie, że naród cały czuł i działał, posiadając pewną jednomyślność co do celu działania, które należycie rozwinąć się nie mogło z powodu okoliczności zewnętrznych. Gdyby naród był podówczas jedynie bierną masą, krajem zaś rządziły same stronnictwa, temi zaś stronnictwami pojedyncze osobistości w rodzaju Kołłątaja lub Ignacego Potockiego nie zaś wewnętrzne przekonania większości krajowej — natenczas wyraz opinii publicznej nie uświadomiłby się w sercach tak żyjącego podówczas pokolenia, jako też i następnych pokoleń. Na przekór atoli doktrynerskim dzisiejszym poglądom, głos opinii publicznej poczytał Targowicę za zdradę i obrzucił na wieki pamięć jej hańbą, a rozchodząc się po kraju, szerzył się nawet między Rusinami w rzewnej piosence ludowej,*) potępiającej Szczęsnego Potockiego, — tak samo zupełnie jak wbrew wszelkim twierdzeniom historyków cudzoziemskich i zapoznaniu przez Polskę szkodliwości zasady objętej nazwą liberum veto, taż sama zasada od dawna potępioną była w sercach ogółu narodowego legendarną klątwą, którą naród obrzucił Sicińskiego. Zarazem też ze względów powyższych staje się zupełnie zrozumiałym wykład i poglądy pierwszych krajowych historyków epoki rozbiorowej (jak n. p. Lele-

*) Oj! pane Potocki! oj ty wraży synu, szczoś prodaw Polszczu, Litwu, Ukrainu!...“

czących, szlachetnym, podniosłym i czystym odzywa się tonem.

Konopnicka napisała wiersz jeden, który silne zrobił wrażenie, zyskał wielką popularność i stał się niejako hasłem, wyznaniem wiary — dla pewnego pokolenia kobiet. Jak można się spodziewać, nie porusza w nim sprawy uniwersytetu kobiecego, ani żadnej gospodarskiej ani rzemieślniczej szkoły. Temat tu odwieczny, zwłaszcza w poezyi, gdyż treść wiersza stanowi miłość, a tytuł jego „Do kobiety".

Jak Orzeszkowa i ona nawołuje kobietę do poważniejszego, głębszego poglądu na świat i życie, i ona pragnie jej ciasny widnokrąg rozszerzyć, otworzyć dla niej przybytek wiedzy i pole do pracy. Po prześlicznym wstępie, który jest hymnem na cześć miłości, tego uczucia, co

„Nietylko szczęściem jest, lecz złotą wagą
Pierwszem żarzewiem wielkiego ogniska,
Co świat ogarnia blaskami swojemi,
Pierwszem ogniwem w stworzenia łańcuchu —

zapytuje kobietę, czy wie, co znaczy słowo „kocham". — Nie znaczy ono bynajmniej chęci bezczynnego panowania, życia bez trosk a zachwytów i upojeń pełnego, nie darzy ono kobiety rolą bóstwa, któremu biją pokłony i cześć jego śpiewają, nie rzuca jej pod stopy kornego wielbiciela, który ma być „jej cieniem, echem, odpowiedzialnym za nią niewolnikiem". — Nie — „Kocham" to zupełnie co innego, to wspólność prac i podział wszelkich trosk i cierpień. —

To znaczy:

. . . . chcę z tobą
Podźwignąć ciężar, co się życiem zowie —

Dalej oznacza to jeszcze jedność dążeń i zapatrywań:

„Kocham", to znaczy: twoje ideały
I twoje cele są także mojemi.
Pracujmy razem, by rozświt dnia biały
Prędzej rozbłysnął na ziemi. —
Chcę, by mą drogą była twoja droga
Mojem pragnieniem były twe pragnienia,
Chcę byś był głosem mojego sumienia.
I wiódł mnie z sobą do Boga! —"

Miłość prawdziwa prowadzi do udoskonalenia się wzajemnego i tylko przy wzajemnem rozumieniu się, przy podziale myśli cel ten osięga.

„Chcę przez twą wiedzę mój umysł rozszerzyć
I słowo twoje chować jak przysięgę,
Chcę z tobą marzyć — i tęsknić — i wierzyć
W ducha niezłomną potęgą."

Nie daje zaś ani udoskonalenia, ani szczęścia, jeżeli jest egoistyczną i ponad nizkie sfery spraw codziennych wznieść się nie umie, bo „kocham" to znaczy jeszcze:

„Ja nie chcę ciężyć tobie jak kajdany,
Wiązać cię z ziemią żelaznym łańcuchem;
Chcę tylko, byś mnie uznał, ukochany,
Bratnim, pokrewnym ci duchem."

Nie tylko nie obniża ona polotu śmiałych myśli, nie ostudza zapału do wielkich czynów, wiążąc człowieka do „trosk nędznych", ale jeszcze i w codzienne, powszednie życie wlewa pierwiastek prawdy, dobra i piękna, jest osłodą w pracy, ulgą w cierpieniach —

„Chcę domu twego być białym powojem,
Twojemu czołu od skwarów ochroną —
Chcę być twą myślą, i ramieniem twojem
I przyjacielem — i żoną."

Miłość taką uważa Konopnicka nie tylko jako ideał, do którego ludzie dążyć powinni, ale jako konieczny warunek ich postępu. — W niej czerpać mają siłę w drodze ku lepszej przyszłości, w każdej innej trwonią tylko swe moralne zasoby, grozi im zastój i upadek, każda inna krępuje ich polot i widnokrąg ich zacieśnia.

Jeśli w twych piersiach, kobieto, nie bije
Serce do takiej podniosłej miłości,
Nie mów ty „kocham" nikomu na ziemi;
Bo ten, co z tobą połączy swą dolę,
Patrząc na ciebie oczyma smutnemi
Nigdy nie powie, że żyje,
I duchem wrosłszy w poziomą niewolę,
Nie zrobi nic dla przyszłości.

Od czasu, gdy kobiety nasze poważnie nad miłością zastanawiać się zaczęły, jakże zmieniły się ich pojęcia o roli, jaką ona w życiu odgrywa. — Dla Tańskiej uczucie to było pożądanem lecz nie potrzebnem, Żmichowska uważała je jako źródło szczęścia i doskonalenia się dla kobiety — Konopnicka idzie jeszcze dalej, zaznacza jego wpływ na szczęście i duchowy rozwój mężczyzny, widzi w niem czynnik ogólnego postępu.

Jakże płonnemi były obawy i ostrzeżenia tych wszystkich, którzy we wszelkich dążeniach kobiet do światła, postępu, wolności — widzieli chęć wyłamywania się z pod tradycyjnie ustanowionych rodzinnych węzłów, zaparcia się natury niewieściej, — zmężczyźnienia kobiety. — Nigdy nie należy się lękać, aby ktoś zostawiony sam sobie uczynił coś naturze swej przeciwnego.

Kobiety, z chwilą gdy w literaturze naszej ważniejsze zajęły stanowisko, gdy ona stała się dla nich drogą do ujawniania swych dążeń i pragnień, uczyniły wiele dla dobra społeczeństwa, w niczem nie naruszyły jego porządku, a przedewszystkiem i najgorliwiej zajęły się oczyszczeniem, uszlachetnieniem i uświęceniem tego uczucia, które istotnie łaskę sakramentalną każdego małżeństwa, ciepło i światło każdego domowego stanowi ogniska — miłości.

J. Moszczeńska.

LISTY
Z KRAKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA.

V.

(B e z s i l n o ś ć w i e d z y. N o w e w y d a w n i c t w a z d z i e d z i n y f i l o z o f i i).

Kilkanaście lat trwał u nas okres pozytywizmu, w którym, idąc w ślad za myślą całej Europy, odrzucaliśmy zupełnie potrzebę filozofii, usiłowaliśmy zastąpić ją przez wiedzę ścisłą mającą niby to zawrzeć wszystko, co było w filozofii, wartościowego, p o z y t y w n e g o, pozostałe zaś uważaliśmy za zbyteczne i szkodliwe mrzonki „śniącego bez snu." — Dziś nastąpił stopniowy zwrot ku tej matce umiejętności, objawiający się i w artykułach popularnych, często nieumiejętną ręką skreślonych, i w wydawnictwach ściśle naukowych.

Niedługie doświadczenie nauczyło nas z gorzkich owoców swoich, że bez filozofii nie może się obejść społeczeństwo inteligentne i myślące.

U ludów stojących na nizkim szczeblu kultury, wierzenia i tradycye są źródłem mądrości życiowej: z nich zapożyczają się przepisy obyczajności i etyki, zasady prawa, ideje przewodnie postępowania w zagadnieniach politycznych i społecznych. Lecz tam, gdzie owe wierzenia i tradycye poczęły ulegać rozkładającym wpływom analizy i krytyki, gdzie zachwiane zostały dawne dogmata etyki indywidualnej i społecznej, kto zostanie przewodnikiem człowieka w życiu? Zkąd zaczerpie on nowe dogmata? Kto pomoże mu do ich obrony, kto je opancerzy przciwko wiecznie nasuwającemu się pytaniu:

— Dla czego?

— Wiedza! odpowiadał pozytywizm, zapominając, że wszystkie twierdzenia wiedzy są warunkowe, że wiedza nie daje haseł do czynu.

W i e m y, że jeżeli opuścimy kamień, który trzymamy w ręku, spadnie on i zmiażdży drobną istotkę, cieszącą się życiem. — Ale czy powinniśmy to uczynić? — Na to wiedza nie daje odpowiedzi.

Wiemy, że dość jest, aby poziom Europy obniżył się na 200 metrów, a całe to ognisko szczytowej cywilizacyi, skupiające w sobie pracę tysiącleci i nadzieje przyszłości zanurzy się pod poziom morski, zostawiając na powierzchni tylko kilka szczytów gór, pokrytych lasem, kilka odludnych pustkowi. Wiemy, że podobne obniżenia odbywały się w poprzednich okresach geologicznych... Ale czy mamy jakieś podstawy do myślenia, że wiara, w sprawę dziejową i wieczny postęp ludzkości, wiara która jest natchnieniem największych umysłów, najpodnioślejszych duchów, że ta nadzieja przyszłości nie zawiedzie nas? Że myśl i jej dzieła nie są czemś przemijającem na kuli ziemskiej, jak pleśń na zwilżonej bibule, która znika pod pierwszym tchnieniem suchego powietrza?

Na te pytania wiedza nie daje odpowiedzi...

A nawet i to co było słusznem w wymaganiach pozytywizmu jako filozofii teoretycznej,

---

wela) którzy, jako bliżsi tej epoki i niemal jej świadkowie*), z konieczności lepiej musieli wiedzieć o uczuciach narodu, niżeli dzisiejsi nasi doktrynerzy.

Zasługę rehabilitacyi narodu polskiego wobec uprzedzonych doktrynerya sądów przyznać należy stanowczo p. Korzonowi, który w pomnikowem swem dziele czterotomowem: „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta" dowiódł, iż odrodzenie narodu w epoce rozbiorowej nie było powierzchownem, lecz gruntownem i sięgającem w sam głąb organizmu narodowego. Dzieło napisane ze ścisłą objektywnością „z podejrzliwością Litwina" co do badanych faktów, — jak sam autor się wyraził — monografia nieustępująca najznakomitszym pracom w literaturze ogólno-europejskiej wyświetla prawdę odrodzenia w sposób dokładny i jasny. Walczyć z gruntownemi badaniami p. Korzona niepodobna, ztąd też i p. Kariejew z wielkiem uznaniem odzywa się o pracy historyka nazywając ją „kapitalną", co nie przeszkadza mu jednak, jakeśmy o tem już napomknęli wyżej, zmieniać sens pojedyńczych zdań p. Korzona, notować skwapliwie wszystko, co przemawia na niekorzyść społeczeństwa polskiego i podnosić wszelkie cienie nawet zarzutów uczynionych p. Korzonowi przez polskich recenzentów jego dzieła. Widoczną jest niechęć zgodzenia się na wnioski wypływające z olbrzymiego materyału w dziele tem zawartego. Pan Kariejew chociaż nie wypowiada tego słowami, zdaje się atoli jakby przemawiał w ten sposób: „mów ty sobie co chcesz, a ja pozostanę przy swojem" — i nic też dziwnego, w jego bowiem przekonaniu zdanie takiego n. p. Suchorzewskiego, krzykacza i warchoła sejmowego, któremu podobnych nie braknie nigdy i nigdzie we wszelkich parlamentach — wyobraża „myśl większości szlachty"**), wbrew wszelkim przedstawianym mu dowodom, dla tego tylko jedynie, że rad byłby widzieć większość ówczesnej szlachty przejętą dążnościami Suchorzewskiego.

Ostateczne wnioski p. Kariejewa co do upadku Polski spoczywają prawie wyłącznie na podstawie zdań wypowiedzianych przez publicystów „szkoły" krakowskiej. Jest tu i wiadoma i d e a c o f n i ę c i a s i ę P o l s k i z Z a c h o d u i d ą ż e n i a n a W s c h ó d**), która była jakoby winą upadku, są i wszystkie inne tych publicystów zarzuty. Ale profesor rosyjski nie zwrócił uwagi, że twierdzenia podobne o ile mogą być usprawiedliwione do pewnego stopnia w ustach publicystów polskich przed światem, o tyle na odwrót nie mogą w żaden sposób służyć usprawiedliwieniem dla Rosyi, lub jej własnego społeczeństwa z odpowiedzialności za dokonany rozbiór. W rzeczywistości bowiem zarzuty p. Bobrzyńskiego i Kalinki, jakiemi obarczyli własne społeczeństwo, dają się w najprostszy sposób zredukować do słów następnych: „Nie utworzyliście silnego rządu i administracyi, a daliście natomiast wzmocnić się sąsiadom, czyhającym na waszą zgubę — reformy przyszły zapóźno i nie w porę, samiście przeto winni, że sąsiedzi na was napadli i rozebrali." W zarzutach tych brzmi przedewszystkiem oskarżenie własnego społeczeństwa o niedołęztwo i nieprzezorność, które jednak nie obarcza go jeszcze winą zbrodni.

*) Str. 361.
**) Str. 373.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Lelewel urodził się w r. 1786 — wspomnienia jego zatem, wyniesione w dzieciństwie z opowiadań najbliższych świadków katastrofy rozbiorowej, mogły mu służyć jako doskonała wskazówka usposobienia i celów ówczesnego ogółu.

to w czem zbliżał się do Kanta, t. j. chęć zakreślenia granicy między poznawalnem a niepoznawalnem, ostrzeżenia rozumu przed daremnemi próbami wtargnięcia w tę ostatnią dziedzinę, prowadzących tylko do bezowocnego błąkania się po rozdrożach — i ta strona nauki Comte'a nie mogła wywrzeć trwałego wpływu.

Umysł ludzki nigdy nie przestanie rzucać swego: Dla czego? w przestwory nieskończone nieba i w drobny pył atomów, we wspaniałą harmonię wszechświata i w głąb duszy ludzkiej. Gdzie nie znajdzie odpowiedzi pewnej, będzie szukał prawdopodobnej; gdzie nie znajdzie prawdopodobnej — zastąpi ją wiarą... I nie wstrzymają go w tych poszukiwaniach dogmatyczne zakazy pozytywizmu, jak nie wstrzymała pomimo ścisłego uzasadnienia krytyka Kanta.

A ta potrzeba — to nie wynik sztucznie stworzonego przez wiedzę nawyknienia umysłu do szperania, to nie owoc późnej cywilizacyi, nie płód próżniaczej kontemplacyi oderwanego od realnego życia sybaryty ducha... Nie! te pytania zadawał już sobie pierwotny myśliwiec, gdy czatując na jelenia wpatrywał się w szarzejący nieboskłon, usiany bladnącemi przed jutrznią gwiazdami; zadawał je sobie człowiek w chwilach wypoczynku podczas południowego żaru, leżąc pod gęstym zielonych drzew namiotem....

Zadawał je w najdawniejszym pomniku piśmiennictwa R i g w e d a c h:

„Dzień i noc znają godzinę, w której ciemna jasnej ma ustąpić siostrze; różne barwą, tej samej przecież myśli, kroczą nieustannie po nigdy nie kończącej się drodze." — Dla czego? Dla czego słońce „niczem nie podparte nie zawieszone, a ku dołowi zwrócone, przecież nie spada"? „Gdzie się na dzień podziewają gwiazdy"? „Cóż to było za drzewo, z którego niebo i ziemię wyciosały bogi?

Takie stawiał pytania umysł ludzki na dziesięć stuleci przed narodzeniem Chrystusa, bo też myśl filozoficzna jest chlebem powszednim rozumu i tylko ciężka niewola i konieczność przygnębiającej pracy zabiły ją w jednych, a w drugich — ptasi świegot próżności i flirtu.

A gdy nie odpowiada na nie filozofia, szuka myśl ludzka ukojenia swego pragnienia wiedzy w obłędzie mistycznym i zwraca się do kręcących się stołów, do tajemniczych duchów, któremi tak zręcznie posługują się rozmaici oszuści.

Daremnie więc usiłowano dogmatyzować wiedzę, aby wykuć z niej hasła praktyczne: pod młotem owych kowali rozpraszała się we mgłę cała naukowość, jak lotna substancya z efruwetki chemika, a na miejsce trwałego ostatku, którego nie mogła dać wiedza, ukazywały się na kowadle potworne figurki, drobno mieszczańskie hasełka egoizmu i przesądów zrodzone przez niekrytyczne i niezastanawiające się umysły — personifikacya czysto osobistych, nawpół świadomych instynktów. A że wyszły z owej niby — naukowej kuchni — wydawano je za wynik wiedzy ścisłej. Wielu w naiwności uwierzyło w to, a jeszcze więcej znalazło się takich którym wszystko było jedno skąd pochodzą owe hasła, byle im dogadzały...

Nie dziw, że wśród tych warunków umysły głębsze i ludzie dalej widzący coraz silniej odczuwali potrzebę filozofii, i zwrot ku niej rozpoczął się nie u nas tylko...

Kiedy księgarze — wydawcy, węchem odczuwający zapotrzebowania książkowe, usiłowali uczynić im zadość wydaniem lichych kompendyów, tłomaczonych jak n. p. Boirac'a zasady filozofii), filozofowie e x c a t h e d r a czuli się w obowiązku zapełnienia tej wielkiej luki naszej literatury naukowej. Owocem ich usiłowań są trzy książki stanowiące początek trzech większych dzieł, z których jedno ma być poświęcone systematycznemu wykładowi filozofii, dwa inne — jej historyi.

Pierwszą z tych książek wydaną przez prof. A. Raciborskiego, jest Iszy tom „Ogólnego zarysu systematu filozofii" (Lwów 1892), obejmujący wstęp ogólny i część pierwszą teoryi poznania.

Na wstępie określa autor filozofią jako „naukę o najogólniejszych prawach zjawisk wewnętrznych i zewnętrznych", a więc naprzód przyjmuje istnienie takich praw.

Dalej zgodnie z tem określeniem zaznacza autor jej rolę w następujących wyrazach:

„Filozofia powinna być wspólnym wynikiem wszystkich działów wiedzy ludzkiej, powinna być zarazem ich najogólniejszym łącznikiem, powinna być wreszcie nicią przewodnią w poszczególnych badaniach przez podawanie im pewnej metody, ujmowanie ich w pewien system i przez wskazywanie im pewnego celu — celu w ostatecznem przeprowadzeniu wszystkim gałęziom wiedzy wspólnego" (str. VIII).

Określając dalej ideały jako „zbiory pewnych praw", dociąga swoją formułę do wymagań programu uniwersyteckiego przez wprowadzenie w jej zakres e t y k i i e s t e t y k i, które to dwie części wraz z końcem teoryi poznania przyrzeka nam w dalszym ciągu.

Wprawdzie pan Raciborski uznaje, że takie zacieśnienie zakresu filozofii do tradycyjnych 5 lub 6 gałęzi usprawiedliwia się tylko słabością sił ludzkich i przepisów katedry, gdyż, dodaje zgodnie z pozytywistycznem prawie określeniem pierwotnem „filozofja, jako system całościowy, powinnaby obejmować ogół wiedzy ludzkiej opracowanej i przedstawionej jednolicie, według pewnego sposobu badania, całościowo i wyczerpująco."

Z pozostałych dyscyplin filozoficznych l o g i k ę i p s y c h o l o g i ę wyklucza autor z swego systematu dla tego, że są samodzielnemi gałęziami wiedzy, które mogą i powinne być uprawiane przedmiotowo i bez uwzględnienia opinii filozoficznych; m e t a f i z y k ę zaś, którą określa jako „naukę o istocie wszechrzeczy" — dla tej przyczyny, iż jest raczej zbiorem pytań niż odpowiedzi.

Taki jest ogólny zarys zamierzonego gmachu. Nie będę tu zatrzymywał się nad wykonaną dotychczas częścią teoryi poznania; zaznaczę tylko, że obejmuje ona przeważnie fizyologiczną psychologię organów zmysłowych, opracowaną na podstawie odpowiednich źródeł, a więc właściwiej może być uważaną za wstęp do teoryi poznania.

Książka prof. Raciborskiego jest niezawodnie pożyteczną, a była by nią o wiele więcej, gdyby nie ciężki sposób wykładu i niedbałość formy.

Jednoczesne prawie ukazanie się kilku dzieł dotyczących historyi filozofii, a przytem po raz pierwszy w naszej literaturze bardziej wyczerpująco traktujących pojedyńcze jej okresy, uzupełnia również ważny brak.

Mam tu na myśli przedewszystkiem „H i s t o r y ą f i l o z o f i i g r e c k i e j o d T a l e s a d o ś m i e r c i A r y s t o t e l e s a przez ks. St. Pawlickiego, niegdyś profesora Szkoły Głównej w Warszawie. Pierwszy tom tego dzieła, kończący się na uczniach Sokratesa wyszedł nakładem Akademii w Krakowie 1890 r.

„Jeżeli każdej nauki historya jest porywającym widokiem, jest wzniosłą pieśnią z uroczystej epopei o zwycięztwach rozumu nad przyrodą, ducha nad materyą, to rozwój i przygody filozofii potrafią nawet w sercach ostygłych rozbudzić święty zapał, nawet zwątpiałym umysłom powrócić hart i wiarę."

Od tych słów zaczyna swoją książkę X. Pawlicki; pojmowanie to wzniosłe swego zadania również jak poważnem jest jego wykonanie, również jak słuszną do niego pobudka. Zastanawiając się mianowicie nad krótkim lecz świetnym rozwojem filozofii u nas w XIX stuleciu, przychodzi autor do wniosku, że „nie dosyć owoców wśród generacyi obecnej, nie dosyć zapału do szerokich ludzkość całą obchodzących zagadnień. Brakowało gotowego gruntu. Ten grunt stworzyć i przygotować najlepiej może znajomość dziejów filozofii.

Ważną też lukę naszej literatury zapełni dzieło X. Pawlickiego, a w obec poważnego i pięknego nawet miejscami wykładu żałować należy, że książkę szpecą niektóre dziwactwa, czyniące wprawdzie nie tyle ujmy treści, ile budzące niesmak w czytelniku. Do takich, jeśli pominiemy uwielbienie dla scholastyki, (której zaniedbaniu u nas od 200 lat przypisuje autor upadek filozofii!), należą między innemi wycieczki sekciarskie przeciwko Lewesowi i t. p. Temu ostatniemu np. nie może autor darować jego stosunków rodzinnych i nie pominął sposobności wytknięcia tego nawet w krótkiej bibliograficznej wzmiance o jego książce.

Drugiem oryginalnem dziełem z zakresu historyi są D z i e j e f i l o z o f i i w z a r y s i e przez prof. Straszewskiego (Kraków 1894). Pierwszy tom, rozpoczęty jeszcze w r. 1887, a dopiero teraz ukończony (przyczyną przerwy była choroba autora), obejmuje historyą filozofii Wschodu — przedmiot zwykle pomijamy w ogólnych kursach lub traktowany po macoszemu.

Nie po raz pierwszy wprawdzie spotykamy się z filozofią wschodnią w wykładzie ojczystym. H i s t o r y a f i l o z o f i j i w i e k u XVIII Cousin'a, której dwa pierwsze tomy wyszły po polsku (Warszawa 1866), daje krótki przegląd filozofii indyjskiej na podstawie świeżych wówczas badań Colebroocke'a. Obszerniej traktowaną jest filozofia wschodnia w H i s t. f i l o z o f j i Laforeta, której tom Iszy wyszedł w polskim przekładzie (Kraków 1874). Pierwszy jednak pan Straszewski opracował ten przedmiot w sposób bardziej samodzielny, i poświęcając mu aż cały Iszy tom swoich Dziejów filozofii.

Zaczyna autor od określenia zadań filozofii w następujących wyrazach:

„Jest więc filozofia... dążeniem do wiedzy, ale nie do wiedzy szczegółowej, drobiazgowej i praktycznej, lecz do wiedzy jak można najwszechstronniejszej, jak najdalej w poznaniu prawdy sięgającej — do wiedzy, która obejmuje całość świata, a skupia w sobie najogólniejsze zasady i najgłówniejsze zasady; najgłówniejsze pierwiastki tego wszystkiego, co tylko może być treścią i przedmiotem naszej myśli" (str. 4.)

Nie obchodzi się też bez nowatorstwa w podziale dziejów filozofii na okresy. Wychodzi on z tego stanowiska, że jak cywilizacye rozwijały się w różnych punktach kuli ziemskiej niezależnie od siebie, podobnież powstały niezależne typy filozofii. Przyjmuje zaś takich odrębnych, niezależnych od siebie, a do pewnego stopnia równoległych typów trzy: e u r o p e j s k i, c h i ń s k i i i n d y j s k i. Dwa ostatnie stanowią główny przedmiot omawianego tomu. Po za tem udziela się miejsce spekulacyom filozoficznym, zawartym, w świętych księgach egipcyan, chaldejczyków, persów i żydów.

Wogóle stara się autor wykazać związek pomiędzy religią a filozofią, stopniowe wyłanianie się ostatniej z pierwszej, oraz wpływ warunków społecznych i politycznych na filozofią.

Jeśli dodamy do tego wychodzący obecnie zeszytami przekład „Historyi filozofii nowożytnej" Falkenberga — pierwszy raz po polsku ukazujący się obszerniejszy wykład najważniejszej i najbliż zej nas epoki myśli ludzkiej, wykład przytem jasny i poważny, to widzimy, że naraz literatura nasza historyczno-filozoficzna objęła wszystkie główne okresy dziejów tej umiejętności (pozostają niezapełnionemi — 2ga część starożytnej filozofii, oraz średniowieczna) i to w wykładzie obszerniejszym i poważniejszym.

Ważnem uzupełnieniem w tym względzie jest także „Biblioteka filozoficzna" wydawana pod redakcyą prof. H. Struvego.

Objęła ona dotąd tłomaczenia kilku bardzo ważnych dzieł oryginalnych jak: Platona „Apologią Sokratesa"; Kartezyusza „Rozmyślania nad zasadami filozofii"; Spinozy „Etykę"; Berkeleya „Rzecz o zasadach poznania" i Kondyllaka „Traktat o wrażeniach zmysłowych". Ważna ta pomoc dla obeznania się z filozofią, wydawana dotąd z zapomogi kasy Mianowskiego, jakoś ustała, głównie zdaje się dla braku poparcia ze strony czytelników.

Los podobny spotkał podobne przedsięwzięcie, rozpoczęte we Lwowie w r. 1879 wydaniem Rozmyślań Kartezyusza, przez W. Dobrzyckiego, na których też zatrzymało się.

Smutny to widok, dowodzący jak mało jeszcze u nas rozwinięta potrzeba poważniejszych studyów.

Dzwon.

NA WYŁOMIE.

(W s p r a w i e t e a t r u. — M a s k a r a d a.)

Z głuchej prowincyi powróciło miejscowe towarzystwo teatralne na kilka dni do Poznania.

a w ślad za nim napłynęły do „Przeglądu“ głosy niechęci. Jedne z nich mówią, że „Dziennik Poznański“, osławiony organ dyrekcyi, fałszuje opinią, bo z recenzyi jego wyrastają artyści do potęgi geniuszów z aureolą Rossich i Salvinich na skroniach, a w rzeczy samej to trzeciorzędnych teatrzyków pigmeje. Inne znów skarżą się na lekceważenie prowincyi przez poznańskich artystów, którzy w rozmaitych „Ryczywołach“ i „Ryczywołkach“, a nawet w ludniejszych i krytyczniejszych miastach kresowej dzielnicy, manifestują charakterystyczne „Byle zbyć“ na scenie. Taką Jeremiaszową nutą zawodzą prowincyonalni korespondenci, a ja niestety stanąć nie mogę w obronie „kapłanów i kapłanek sztuki poznańskiej“, ani kopii skruszyć za sumienność i talent krytyczny cukierkowego organu dyrekcyi.

Lekceważenie prowincyi? — mówicie. Nie wiem, czy określenie takie wyczerpuje kwestyą, ale jest w niem cząstka prawdy niewątpliwie. Gromadząc materyał do tygodniowej pogadanki, wsłuchiwałem się ciekawie w opowiadania artystycznej drużyny i skarga prowincyi przestała budzić we mnie wątpliwości, choć winy wyłącznie aktorom tylko przypisać nie mogę. Czyż bowiem winić można scenicznego Radziwiłła, że „sztylpy“ jego podarte, a kontusz problematycznej świeżości, jeżeli dyrekcya wraz z szatnym teatralnym uradziła, by w świat nie posyłać cenniejszej garderoby. Na afiszach prowincyonalnych figuruje wprawdzie szumna reklama: „Nowe kostiumy“, ale augurzy z uśmiechem ironicznym obserwują słodką przynętę, bo piękniejsze szaty drzemią spokojnie w poznańskich skrzyniach teatralnych. Czyż dalej winić można kierowników artystycznych wędrówek, że, straciwszy bohaterkę poznańską, pannę Wróblewską, która śmiałą ręką po krakowskie laury sięgnęła, powierzają z konieczności rolę heroin pani Majdrowiczowej — płaczce scenicznej?! Nie! na ujemność prowincyonalnych przedstawień składają się różnorodne czynniki, chociaż zaprzeczyć nie mogę, że i artyści sami i kierownicy nie są bez winy. Prowincya! prowincya! słyszę w około. i ot! uśmiechem pogardliwym wykrzywia usta jeden z artystów znajomych.

„Knapczyński wyjeżdża do Łodzi — mówię z zakłopotaniem pewnem. — Cóż wy poczniecie bez bohaterki i lekkiego amanta?

„Kapłan sztuki“ machnął ręką i odpowiedział lekceważąco:

„Ej! Panie! Na prowincyi to obojętne zupełnie, kto występuje, byleby mówić i ruszać się umiał.“

Wobec takich poglądów na prowincyonalną publiczność dziwić się istotnie nie można, że tryskający prawdziwym humorem utwór Fredrowski „Oj, młody, młody“ wywarł na bydgoskiej inteligencyi wrażenie „nudnej, bezwartościowej roboty“ (autententyczne słowa korespondencyi.)

A gdyby przynajmniej reżyserya w umiejętnych spoczywała rękach i w karby posłuszeństwa ujęła rozprzężone, zepsute karmelkami „Dziennika Pozn.“ i pozbawione sił wybitniejszych towarzystwo! Ale i tu znowu słyszę ironiczne głosy: Reżyser — król malowany. Nie należy do najprzyjemniejszych obowiązków feljetonisty gromić człowieka, którego dłoń uczciwą nieraz się ściskało i który ze stanowiska ogólnoludzkiego budzić musi poniekąd uznanie. Ale cóż robić? „Bez obłudy — panie Sullo! — krzyczy mi nad uchem jeden z najzagorzalszych werystów „Przeglądowych“. Względów i względzików nie ma „Na Wyłomie!“ All right! Nie zdradzę sztandaru.

Nie mogę tu głębiej zastanawiać się nad tem, jakim czarodziejskim wpływom zawdzięcza pan Łaski obecne stanowisko swoje, bo musiałbym poddać mikroskopijnej analizie charakter poznańskich królów teatralnych. O „królach“, nie o „królu“ mówię, bo dwóch ich mamy na wzór Sparty starej w naszej świątyni narodowej. Pierwszy — dyrektor teatru, piastuje berło i koronę, drugi — sekretarz, nie ma insygniów królewskich, lecz dzierży władzę tronową. Od czasu do czasu dwaj monarchowie zazdrosnem na siebie spoglądają okiem, ale w ostatnich latach dzięki rafinowanej zręczności sekretarza i zgrzybiałości dyrektora zakopano siekierę wojenną i błogi pokój zapanował wśród królików sceny. Pan Łaski — artysta sumienny, ale bez woli i talentu reżyserskiego, posiada jedną zaletę, która mu zapewnia sympatye obu monarchów. Umie się kłaniać, umie głową kiwać, umie wyrzec się wszelkiej samodzielności i hołdy swoje w równej mierze między dyrektora a sekretarza podzielić. Są ludzie, którzy samodzielnych natur w otoczeniu swojem nie znoszą i do serca przytulą jedynie pokorę w pałąk skręconą. Wolno jej płodzić niedołęztwa, wolno rujnować scenę narodową, byle tylko na ustach miała dwa frazesy: Do usług panie dyrektorze! Do usług panie sekretarzu!

Kto role rozdaje? Kto sztuki wybiera? Kto artystów angażuje? Pan sekretarz ordynuje, pan Łaski w milczeniu przyjmuje rozkazy i, zapukawszy do drzwi dyrektora, przedstawia, posłuszny dyplomacyi sekretarskiej, w formie pokornej propozycyi plany pana Fjałkowskiego. W ten sposób władzy absolutnej spragniony, ale nie wtajemniczony w zakulisowe sprężyny i pozbawiony artystycznego krytycyzmu dyrektor, nie widzi dłoni ukrytej, która korbą kręci. Biada reżyserowi, który czci królewskiej nie odda jednemu z królików, biada reżyserowi, któremu duma nie pozwala odgrywać roli pionka sekretarskiego! Chociażby chlubą był sceny i najzdolniejszym kierownikiem ensemblu — zginie pod stopą teatralnych satrapów. Lecz jeźli kark ma giętki, spać może spokojnie nad berłem reżyserskiem, — nikt mu go nie wydrze. Oto szkicowe rozwiązanie zagadki, nad którą cała publiczność poznańska głowę sobie łamie, — oto odpowiedź na pytanie, dla czego p. Łaski mimo bezustannych narzekań prasy i obywatelstwa miejskiego piastuje od lat kilku urząd kierownika sceny. Z roku na rok teatr nasz upada, a ta scena poznańska, która niegdyś miała opinię szkoły artystycznej, dziś dla braku reżyseryi jest raczej suszarnią młodych talentów. Pan Łaski jest artystą użytecznym i w rolach komicznych amantów zyskał sobie niejednokrotnie poklask zasłużony, ale nie posiadając ani energii, ani zmysłu organizacyjnego, ani talentu pedagogicznego, odgrywa na próbach iście pożałowania godną rolę i spycha scenę naszą do nizin amatorskiego teatru.

Ostre moje słowa! — ale gdy się patrzy lata całe na gospodarkę teatralną, rujnującą tę jedyną narodową scenę pruskiego zaboru, to żalem serce wzbiera i rumieńcem płonie oblicze. Nie chcę tu przytaczać szczegółów protekcyjnego systemu, nie chcę się skarżyć na banicyą artystek zdolnych, które nie umiały żebrać o względy dyrekcyi, nie chcę piętnować motywów, kierujących krytyką organu teatralnego, nie chcę ilustrować tej jałowości artystycznej, która nieśmiertelne znamię niesmaku wyciska na dyrektorze, sekretarzu i reżyserze, nie chcę wreszcie chłostać owej pogardy, którą dyrekcya okazuje publiczności, oddalając jej ulubieńców, a protegując miernoty, powiem tylko tyle, że gdzie rękę położysz, tam próchno się sypie.

Dla zasług obywatelskich p. Dobrowolskiego mam cześć najwyższą, ale sądzę, że syt panowania powinien złożyć berło teatralne. Rządy sceniczne nie potęgują blasków jego, lecz z dnia na dzień zaćmiewają promienie. Zapóźno usunął się Bismarck — czyż p. Dobrowolski pójdzie jego śladem? Ha! gorączka władzy jest nieuleczalna i zdaje mi się, że p. dyrektor teatru do dnia dzisiejszego pozostał takim, jakim był niegdyś w rządzie narodowym. W „Wydawnictwie Materyałów do historyi powstania 1863do 1864 r.“ (Tom IV, Zeszyt II, str. 74.) czytamy bowiem: „D o b r o w o l s k i w s w e j o s o b i e s k u p i a ć s i ę s t a r a ł w s z y s t k i e t e k i: s p r a w z e w n ę t r z n y c h, z a g r a n i c z n y c h i s k a r b u, a ż e w s z y s t k i e m u n i e m ó g ł p o d o ł a ć, s t a g n a c y a z a p a n o w a ł a t a m, g d z i e n i e d a w n o p r a c a w r z a ł a.“ Toujours le même!

* * *

W chwili, gdy feljeton oddaję pod prasę otrzymuję Nr. 128 „Gońca Wielkop.“ a w nim ozdobiony herbowym pseudonimem „Poraj“ artykuł p. t. „Pesymizm w „Przeglądzie poznańskim“. Ponieważ praca ta kończy się zapowiedzią dalszego ciągu i głównie polemizuje z artykułem Romualda Łazęgi o wychowaniu młodzieży, zatem słów kilka tylko poświęcam jej dzisiaj.

Zdaje się Porajowi, że nie Sulla, lecz Mariusz usiadł na gruzach Kartaginy i gorzkie łzy leje. Ja na tak poetyczne porównanie zdobyć się nie mogę, bo Poraj, nakładający grubą warstwę bielidła i różu na piegowate oblicze społeczeństwa, wywiera raczej wrażenie starej kokietki, lub małomiejskiego eleganta, który brudną bieliznę szerokim krawatem zasłania. Nieśmiertelny frazes znowu tańczy przedemną i lubownik maskarady rozpoczyna teatralną robotę. Zarzuty Poraja są ukute na wzór wielu innych, podobnych zabawek karnawałowych, t. j. gołosłowne, a nadto posługują się wykrzywianiem i przekręcaniem artykułów moich. Wzywam niniejszem publicznie pana Poraja, aby mi dowiódł, w którym z feljetonów tygodniowych oświadczyłem, że patryotyzm poznański „jest w w i e l k i e j c z ę ś c i maską, służącą do pokrycia nicości moralnej i materyalnej,“ — oraz, gdzie postawiłem twierdzenie, że przed czczością umysłową **„trzeba się ratować wynaradawiając“**. Dopóki p. Poraj tego nie uczyni, uważać go będę za człowieka, niezdolnego wyciągnąć z najprostszego zdania logicznych wniosków. *Sulla.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA LONDYŃSKA.

2 czerwca.

(Co to jest sezon? Szkic z nawiasami o polskich koncertantach i Patti. Hulaki teatralne p. H. A. Jones i Eleonora Duse.)

Zaiste sezon w Londynie to nie karnawał za dobrych dawnych czasów w — Koziegłowach. Najwybitniejszym bywał tam wypadkiem — „maryaż“. Gdy zaś pewnego razu dwóch lokalnych znakomitych mężów (Koziegłowy liczyły na tysiąc adultów 999 wielkich ludzi), dwóch dostojnych rajców szlachetnego grodu nieparlamentarnie potraktowało się się po buziach skutkiem sprzeczki wynikłej przy maryaszu, ponieważ jeden drugiemu przybił pamfila król m — wieść o tem zachowała się dzięki skwapliwej tradycyi parafiańskie i przeszła do historyi, nie tyle z powodu brzydkich manier ojców ojczyzny ile uderzającej zwłaszcza u znakomitości ignorancyi. Nad Tamizą inaczej. Przybijają tu prawie codzień jakiegoś salonowego pamfila, aby w jego miejsce uplasować w sercu jaką glinianą boginię o właściwościach skarbonki — bezdennej, lecz jeźli echo zakulisowej operacyi przedrze się aż na ulicę, milknie wnet stłumione szalonym, hałaśliwym wirem tego blasków i cieni pełnego życia. Wydaje się, że bawimy się sławnie.

Już przy porannych jajach i „bacon“ zastanawia się gwałtownie sezonujące indywiduum czy wypada przejść się po wystawie królewsko-filisterskiej akademii sztuk pięknych, czy też wstąpić do modnej Grafton Gallery. Nie! londyńskie pokojówki tak dziś artystycznie malują sobie lica, że — najlepiej przejechać się po Alei konnych, zobaczyć renomowane wierzchowce, renomowane damy i zaznaczyć swoją obecność. W Hyde Parku przynajmniej ogląda nas galeryą, podziwia, zazdrości, my zaś rzucamy na nią okiem pogardy. Czuje się człek tu wielkim, a to tak błogo działa na usposobienie jak konna przejażdżka na apetyt. Potem czeka nas idealny „luncheon“ w marmurowym Carlton Clubie przyrządzane przez gwiazdę kulinaryjną. Musi być gwiazdą, bo „wart“ jest ów szef kuchni rocznie tys. f. szt. W Londynie wprawdzie gwiazdy zwykle dużo więcej warte, ale firma, tytuł, także przecież dają splendor. Jutro czeka nas przedwyścigowe śniadanie u prezesa Jockey-clubu, księcia Sołtykowa. Ale tu wkraczamy w sferę operacyi finansowych. Naturalnie spotkam na torze księcia Walji, który, jak zwykle powie mi:

„Halloo! Mister Nobody. How are you? Pozwolisz pan szklankę whisky z sodą?“

„Owszem, ale bez sody“ — odpowiem.

Ale cóż zrobić z sobą dziś po śniadaniu? Koncertów setki. Gwałtem zaszczepiają Londynowi muzykalność. Gdybym wysłuchał czwartej części koncertów, byłoby to z wielką szkodą dla mych bembenków usznych. Na liście przedstawicieli „muzykalnego narodu“ nie brak. Józef Sliwiński grał z powodzeniem. Józef Hofmann wylągł się po studyach u Rubinsteina, z jajka artystycznego jako spory ptak, dziwnie przypominający znakomitego metra, kompozytora i wirtuoza. Technika i uderzenie znakomite a gdy skrzydła i korpus podrosną i zmężnieją znajdzie się także własna artystyczna indywidualność. Prócz tych pianistów Warszawa wysłała dwóch cudownych skrzypków. Produkcya Warszawy w tym kierunku jest bajeczną. Naturalnie ani Arturek Argiewicz ani Broniś Hubermann nie mają więcej nad lat dziewięć. Jak stare panny mimo najszczerszej chęci nie mogą przekroczyć rubikonu — trzydziestki, tak cudownym dzieciom nie łatwo dojść do dziesiątki. Ale dość, że grają dzielnie i z takim zapałem, zrozumieniem i natchnieniem, z jakim pospolity gatunek dzieci grywa na grzebieniu. Dziś biegnę na koncert starego słowika ale słowika — Adeliny Patti. Piękna jeszcze diva— dzięki skomplikowanym hygieniczno-upiększającym środkom, którym poddaje się z heroizmem codziennie — uroniła wiele z swego głosu, ale cóż mnie obchodzi krakanie krytyków, kiedy ma ona monopol prawie na słodycz, koloryt i niezrównany czar głosu. Nie dziw, że grzmi burzą oklasków, amfiteatralna, największa sala największego miasta — Albert Hall, i sześć tysięcy par rękawiczek drze się w szmaty, gdy zaśpiewa starą z serca do serca płynącą pieśń: Home, sweet home! Myśl wybiega do domowego ogniska, które rajem zda się nawet gdyby czekała nas Xantyppa z pliką rachunków, iluzye osłaniają pozytywne nasze oczy, fala uczuć wzbiera pod klapą surduta i ma się bajeczną ochotę — zakochać w pierwszym lepszym buziaku od brzega. Cóż kiedy tak wiele ładnych! Może one trochę za deserowe z delikatnym rysunkiem twarzy i płcią alabastrową. ale bezsprzecznie ładne i dystyngowane. Znać w nich rasę i hygieniczne wychowanie. Gdybym był cukiernikiem przylepiałbym na bombonierki takie twarzyczki. Zakochanie jednak w fin de siecle'u to zbyt skomplikowana awantura aby ot tak na krótkim taporzysku..... Na Boga! 5ta godzina! Szybkonośny „cab“ przenosi nas z krainy rojeń do salonu pani X. Należy się pokazać w modnym apartamencie. Nie ciężkie zadanie. Pupłukaliśmy sobie herbatą w ustach, powtórzyli kilka komunałów, posłyszany dowcip i — tyle nas było. Wdziewamy na spracowany grzbiet strój wieczorny t. j. frak i podążamy na obiad do prezesa akademii sztuk pięknych Sir Fryderyka Leighton, którego najartystyczniejszem dziełem jest jego własna głowa. Wieczorem „Jean de Reszke“ śpiewa Romea. Wróble na dachu wiedzą, że wygląda „czarująco“ a śpiewa „bosko,“ właśnie tę partyą dla swego głosu przez Gounoda napisaną. Potem trzeba jeszcze „zrobić“ z 2 salony, aby zmęczony jak koń dorożkarski, z głową pustą a żołądkiem pełnym wypocząć w jakim artystycznym klubie, usłyszeć rozsądne słowo, zaopatrzyć się w konwersacyjny „stock“ i rozweselić z przyjacioły. I tak dzień w dzień....

Otóż to mniej więcej nazywamy sezonem. Mówię my t. z. wszyscy mądrzy, którzy wybrali sobie bogatych rodziców, a w poczet których wliczam się tytułem jeszcze mędrszego, bo jako „Nikt“ nie wybrałem — żadnych. Będąc istotą niewidzialną obywam się wybornie bez złotych portrecików królowej Wiktoryi, bez zaproszeń, mogę przejrzeć swobodnie wszystkie kąty, donieść różne plotki i dać chociaż słabe wyobrażenie co to znaczy to słowo powabne — sezon.

Z aktora przedzierzgam się w widza, aby wspomnieć o komedyi p. Jonesa. „The Masqueraders“ czyli w tym razie — „Hulaki“ dowodzą, że autor pozostał wiernym swym dawnym ideałom i bóstwom. Nie ulega wątpliwości, że zna on dobrze scenę a jeszcze dokładniej gusta na melodramatach wychowanej publiki. Sam na tym chlebie utuczony, kosztem najprostszych zasad logiki, psychologii, rozsądku, prawdopodobieństwa i całego tym podobnego a zbytecznego balastu kreuje gwałtem awanturnicze sytuacye, szarpiąc co sił nerwy publiczności, aby płaciła.

Klimaksem tej sztuki jest scena gry w karty, w której szlachcic angielski — hulaka num. 1szy — przegrywa do astronoma — hulaki num. 2gi — swe dziecko i żonę ex-kelnerkę, która przygląda się temu wszystkiemu dość obojętnie. Bo cóż może powiedzieć osoba, której całusy licytowała publicznie złota młodzież — w pierwszym akcie? Astronom, który widocznie badał przeważnie gwiazdy szynkowe i w astronomicznym świecie manier nie nabrał, nie dość, że ograł szlachcica. ale aby upewnić się (?) w posiadaniu drogiej choć w gruncie mało wartej Dulcie, chwyta partnera niegrzecznie za gardło i — odchodzi z skarbem. Półrozwódka zwiedza w nocy (w czwartym akcie) obserwatoryum astronoma, który, obejrzawszy sobie wygraną, przypomina sobie, że miał zamiar wyjechać do Afryki w celu śledzenia przejścia Wenery i przenosząc wdzięki tejże od chudych łopatek Dulcie, żegna się powierzając ją Opatrzności innych astronomów no i względom — męża, któremu nic nie stoi na przeszkodzie zabrać sobie osadzoną na koszu niewiastę. Boleje nad rozłączeniem ale idzie do Wenery i chwali mu się to, bo inaczej sztuka by się nie skończyła wcale.

Tą sztuką komedya angielska cofnęła się o lat dziesięć wstecz i musi wołać o ratunek panów Oskara Wilde i A. Pinero, aby wyciągali ją z błota. Wobec dzisiejszych logicznych postulatów krytyki i pozytywizmu „Hulaków“ z tym bezdusznym formaliznem i romantyczną kazuistyką ukamieniowanoby — zgniłemi jabkami gdyby powodzenie ich nie zawisło od galeryi a teatr, zwłaszcza angielski, nie był przez pół-szopką.

Cofam to brzydkie słowo wobec Daly's Theatre, na którego deskach stąpały niedawno maleńkie nóżki Mirs Ady Rehan, stąpać będzie Sara Bernhardt a stąpa obecnie — Eleonora Duse. Włoska diva i słynna z pól elizejskich — Yvette Gilbert stanowią dwa główne magnesy teatralne. Pozostawiając „boską“ szansonetkę i jej „styl“ do ocenienia głębszym znawcom tej gałęzi sztuki Histryonów — słówko o E. D.

Mówiąc zwięzłowato jest to gwiazda nad gwiazdy, pionerka nowej techniki aktorskiej, nowej ery realizmu, aktorka przyszłości i artystka, — aż do końca paznogci. Apolin orzekł o niej, że jest największą aktorką naszych czasów, pewien łyk londyski zaś szepłał mi w czasie, gdy umierała Dama Kameliowa a on klepał się po brzuchu, że po włosku nie rozumie i — woli Loïe Fuller z Alhambry. Nie mając czasu powinszować mu, nadepnąłem go tylko na nagniotek i, chociaż nie umiem po włosku nic prócz: t'amo... fortissimo... mia bella... dziwiłem się jak tak małemi środkami można wywołać tak ogromny efekt. Duse nie szminkuje się, nie deklamuje, nie pozuje, nie gra — lecz mówi, chodzi sobie, porusza się tak jakby była u siebie, lecz wlewa w te proste czynności całą swą inteligencyą, całą duszę, całą indywidualność, a to nie da się imitować. Tak jak będąc w komedyi francuzkiej widzi się dopiero co to jest — teatr, patrząc na jej grę dowiaduje się człek co to znaczy być — aktorem.

Nobody.

KRONIKA LITERACKA.

— Redakcya „Czasu“ rozstrzygnęła rozpisany przez siebie konkurs na feljeton. Konkurs ten daje obraz miłych galicyjskich stosunków dziennikarskich, bo lubo był ogłoszony tylko w jednem piśmie i lubo warunki jego odpychały raczej, a nie zachęcały, po sto guldenów nagrody wyciągnęło ręce blisko stu literatów, literatek i kandydatów do tego przyjemnego w Galicyi zawodu. Warunki były odstręczające, bo konkurs dopuszczał do rywalizowania utwory wszelkiego rodzaju, a więc nowella mogła walczyć o pierwszeństwo ze szkicem literackim, feljetonem naukowym lub humorystycznym, z rozprawką pedagogiczną, artystyczną itp., trudno zaś decydować co lepsze: czy dobra humoreska, czy dobry, dajmy na to, rozbiór literacki jakiegoś arcydzieła? Są to rzeczy, nie dające się porównywać, każda może być znakomitą w swoim rodzaju. Konkurs zaś zastrzegał redakcyi prawo drukowania wszystkich utworów, uznanych za godne druku, a więc autora wybitnego mógł narazić na rozgłoszenie jego potknięcia się, bo potknięciem jest każde pozostanie w tyle w wyścigu o nagrodę. Były jeszcze inne drażliwe strony tego konkursu, a jednak udał się bardzo i wzięły w nim udział nawet wybitne nazwiska literackie, jak n. p. Ignacy Dąbrowski, autor „Śmierci“, Abgar-Sołtan, Zygmunt Niedźwiecki itd. Pierwszą nagrodę otrzymało opowiadanie „Drogienki“ p. Juliusza Barskiego (zapewne pseudonim), drugą nagrodę przyznano nowelli „Godziny wczorajszego wieczoru“ (także pseudonim). Prócz tego wybrała redakcya piętnaście z nadesłanych utworów do druku, co do ośmiu zaś, chce się porozumieć z autorami dla poczynienia w nich pewnych zmian lub poprawek. Charakterystycznem jest i to, że w konkursie pisma ściśle konserwatywnego wzięli udział pisarze różnych, nawet skrajnie przeciwnych obozów. Wszystko to dowodzi „owych miłych stosunków“, to jest mówmy wyraźnie: stosunków materyalnych pomiędzy oraczami galicyjskiej niwy literackiej. Opowiadanie „Drogienki“ już się ukazało w feljetonie „Czasu“ i jest rzeczywiście pełnym głębokiego uczucia obrazkiem, na tle nieszczęsnych stosunków tępionych przez rząd rosyjski unitów.

KRONIKA POWSZECHNA.

— W redakcyi pisma naszego składać można prenumeratę na dzieło Ryszarda Falkenberga p. t. Historya filozofii nowożytnej (przekład z niemieckiego). Całość obejmie 7 zeszytów, z których każdy zawiera około 96 stronnic druku. Prenumeratorzy otrzymają pierwsze cztery zeszyty natychmiast, a 5, 6 i 7my przed końcem bieżącego roku. Cena dla abonentów „Przeglądu Pozn.“ wynosi 6 Mrk. Znakomite dzieło Falkenberga polecamy gorąco uwadze czytelników naszych.

— Powieść Henryka Sienkiewicza pt.: „Rodzina Połanieckich“ wychodzi w przekładzie rosyjskim w czterech miesięcznikach. Dziennik kijowski „Życie i sztuka“ dał przekład utworu K. Glińskiego p. t. „Tchnienie nieskończoności.“

— W Krakowie przyszło do gorszących awantur w nowym teatrze miejskim. Od dawnego już czasu kością niezgody był artysta dramatyczny Lubicz, który podeptaniem zasad honoru i uczciwości do tego stopnia zraził kolegów, że personał starego teatru odmówił współudziału w przedstawieniach, w których Lubicz wstąpi na deski. Nowy dyrektor niestety, gardząc opinją artystów, zaangażował aktora z pod ciemnej gwiazdy i wkrótce tak się w sieci jego zaplątał, że znawcy stosunków przewidywali od dawna katastrofę. Lubicz rozpoczął mianowicie grę intryg przeciw p. Józefowi Kotarbińskiemu, reżyserowi teatru, utalentowanemu artyście, zdolnemu literatowi i człowiekowi o czystym jak łza charakterze, — a p. dyrektor Pawlikowski posiadł na lep intryganta, mimo bliskich węzłów rodzinnych, które go łączą z Józefem Kotarbińskim. Ostatecznie cała sprawa skończyła się skandalem. Artyści krakowscy, ujmując się za ulubionym reżyserem, obili za kulisami p. Lubicza, a p. Kotarbiński opuścił teatr. Sprawa ta dała się również we znaki artystce poznańskiej p. Wróblewskiej, której występ gościnny w „Nauczycielce“ z powodu awantury odwołać musiano. P. Pawlikowski stanął po stronie wypoliczkowanego Lubicza i w nagrodę obsypał go jak niegdyś car Apuchtina względami swojemi, mianując wicedyrektorem. P. Józef Kotarbiński jeden z najzdolniejszych artystów i reżyserów dzisiaj swobodnie pracą swoją i umiejętnością rozporządzać może, — a Poznań łaknie nowej dyrekcyi.

Zmarli:

— Oskar Welten, powieściopisarz, zwany niemieckim Zolą.

— Franciszek Żółtowski. znany patryota, były poseł do sejmu pruskiego, prawdziwy opiekun podwładnych swoich.

— Hodgson, senior orjentalistów angielskich

Odpowiedzi Redakcyi.

— Rien. Wiersz nadesłany publikowany był w kalendarzu „Gazety Gdańskiej“, a poezye, już drukiem ogłoszone, zamieszczamy tylko w wyjątkowych wypadkach

— Karolowi: Well roared lion!

— P. S. Racz Pani nas pinformować, kto się ukrywa pod pseudonimem Leona Płoszowskiego, a postaramy się, aby życzeniu jej zadość uczynić.

— Kondeuszowi. Nie przeczymy. Była to wielka, oburzająca nieraz komedya stronnictwa ugodowego, ale znaleźliśmy w niej kilka scen patryotycznych

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.